

wiadomości kościańskie

ISSN 1231-9589

pismo regionalne • cena 5 zł • nr 5-8 (237-240) • maj-sierpień 2012



Kościan. Zdjęcie lotnicze Marka Kaczmarczyka z Poznania. Wystawę fotografii tego artysty oglądać można było w Muzeum Regionalnym im. dra med. Henryka Florkowskiego w Kościanie.



Warta honorowa na Placu Niezlomnych.

Fot. Teresa Masłowska

Kościańskie spotkanie akowców

29 marca 2012 roku w Kościanie – pod patronatem Marszałka Województwa Wielkopolskiego – odbyła się uroczystość 70. rocznicy przemianowania Związku Walki Zbrojnej na Armię Krajową. Zorganizowali ją: Starosta Kościański, Burmistrz Miasta Kościana i Wójt Gminy Kościan. Cały przebieg uroczystości był doskonale zorganizowany, więc uczestniczący w niej członkowie Światowego Związku Żołnierzy Armii Krajowej czuli się usatysfakcjonowani.

Obchody rocznicy rozpoczęły się na Placu Niezlomnych wystąpieniem starosty Andrzeja Jęcza, po którym głos zabrał prezes Okręgu „Wielkopolska” ŚZZAK płk Jan Górski. Modlitwę za poległych i zmarłych akowców poprowadził ks. kanonik Jan Stanisławski z Kurii Poznańskiej. Po Apelu Pamięci oddano salwę honorową. Na zakończenie tej części uroczystości u stóp Pomnika Niezlomnych Kościaniaków złożono wiązanki kwiatów. W uroczystości uczestniczyły: kompania honorowa Wojska Polskiego z jednostki w Głogowie, młodzież szkolna, liczne poczty sztandarowe oraz Orkiestra Dęta „Ton” z Kościana.

Druga część uroczystości odbyła się w Kościańskim Ośrodku Kultury. Rozpoczął ją spektakl pt. „Gdzie są chłopcy

z tamtych lat...” w wykonaniu Kościańskiego Teatru Kameralnego według scenariusza i w reżyserii Janusza Dodota. Piękny ten spektakl przyjęto z dużym wzruszeniem.

Następnie gości powitał burmistrz Kościana - Michał Jurga. Zebrani wysłuchali interesujących wykładów: dr Waldemar Handke z Instytutu im. Stefana „Grota” Roweckiego w Lesznie mówił o Armii Krajowej jako wojsku Polski Podziemnej w Wielkopolsce, a mgr Rafał Sierchuła z Instytutu Pamięci Narodowej Oddział w Poznaniu o idei narodowej w wielkopolskiej konspiracji wojskowej 1939-1945.

W ramach wystąpienia gości głos zabrał m.in. hm Kazimierz Kwiatkowski ze Środowiska „Szare Szeregi” w Zarządzie Okręgu „Wielkopolska” ŚZZAK. Zacytował hm Jerzego Jabrzemskiego, który w II tomie książki pt. „Szare Szeregi” – Harcerze (1939-1945) przedstawił w jak trudnej sytuacji działały w Poznańskim Szare Szeregi. Przypomniał, że w Poznaniu konspiracja harcerska rozpoczęła się już we wrześniu 1939 r. i szybko objęła całą Wielkopolskę.

cd. strona 4

W numerze m.in.:

Prof. Janusza Grądzkiego
wspomina syn (6,7)

Fragmenty „Dziennika”
red. Macieja Morawskiego
(8,9)

Rozmowa z miłośnikiem
ulanów
historykiem
dr Zdzisławem Kościańskim
(10 - 12)

Śladami siostry Joanny
(13-15)

Wiersze
Eugeniusza Wachowiaka
(24)

Kościan znalazł
obiektyw
(25,26)

Zdzisław Wojtczak
wspomina
Kościan dziedzictwa
(30-32)

Okruchy
wojennej pamięci
(40-42)

„Wiadomości Kościańskie”. Pismo regionalne, ukazuje się od czerwca 1988 roku. Laureat głównej nagrody IV Konkursu Institute for Democracy in Eastern Europe. Wydawca: Przedsiębiorstwo „AGA” w Kościanie. Redaguje zespół: Teresa Masłowska (redaktor prowadzący), Jerzy Wizerkaniuk (red. naczelny), Jolanta Napierała (z-ca red. naczelnego), Alicja Żurek (marketing i kolportaż). Adres redakcji: 64-000 Kościan, ul. Dworcowa 2, tel./fax (0-65) 512-16-15. Druk: Drukarnia Zbigniew Sołtyś, ul. Surzyńskiego, Kościan. Redakcja zastrzega sobie prawo do skracania nadsyłanej korespondencji, nie zwraca materiałów nie zamówionych i nie odpowiada za treść ogłoszeń.

Kościańskie spotkanie akowców

cd. ze strony 3



Fragment spektaklu w reżyserii Janusza Dodota.

Fot. Katarzyna Żurek

Archiwum Państwowe w Lesznie i Instytut Pamięci Narodowej w Poznaniu zaprezentowały w Kościańskim Ośrodku Kultury ciekawą wystawę dokumentów pt. „Armia Krajowa w południowo-zachodniej Wielkopolsce”. Odbyła się również promocja książki Teresy Masłowskiej pt. „Jeśli zapomnę o nich...” z cyklu „Wierni Niepodległej”, wydanej przez Starostwo Powiatowe w Kościanie. Książka ocala od zapomnienia członków ŚZZAK Okręg „Wielkopolska” zmarłych w latach 1989-2011.

Uroczystość zakończył wspólny obiad. Jesteśmy bardzo wdzięczni panom: staroście Andrzejowi Jęczowi, burmistrzowi Michałowi Jurdze i wójtowi Henrykowi Bartoszewskiemu za perfekcyjne zorganizowanie uroczystości. Dziękujemy też marszałkowi naszego województwa panu Markowi Woźniakowi za zorganizowanie przewozu grupy poznańskiej do Kościana.

POR. URSZULA HOFFMANN
SEKRETARZ OKRĘGU
ŚZZAK W POZNANIU

Książka o wielkopolskich akowcach

Powiat kościański na mapie dziejów oręża wielkopolskiego zajmuje poczesne i ważne miejsce. Tam, w czasach zniewolenia, dokładniej na początku lat siedemdziesiątych, grupa młodych historyków Uniwersytetu im. Adama Mickiewicza w Poznaniu pod patronatem prof. dr hab. Zdzisława Grota, znalazła miejsce i warunki do prezentowania i publikowania materiałów na temat Czynu Zbrojnego Wielkopolan 1918/1919 oraz przywrócenia należnej godności żołnierzom Września '39 i wojskowej konspiracji 1939-1945. To, co – z wiadomych względów politycznych – nie było możliwe w Poznaniu i w innych ośrodkach można było realizować w Kościanie. Tam odbywały się kolejne sesje naukowe z udziałem znanych historyków krajowych i zagranicznych; tam wydawano drukiem pierwsze publikacje o roli i znaczeniu Powstania Wielkopolskiego. I choć z czasem przenieśliśmy się do Gniezna, Koszalina czy Leszna, to i tak nasze „powstańcze” sesje – bez względu na miejsce spotkania określamy mianem kościańskich.

W latach osiemdziesiątych Kościan – jako jedno z pierwszych miast w kraju – stał się ośrodkiem badań zbrodni katyńskiej. Tam spotykaliśmy się najpierw prywatnie u naszego nieodżałowanego przyjaciela dr. Piotra Bauera, planując i uzgadniając zakres indywidualnych poszukiwań archiwalnych; tam m.in. zorganizowaliśmy

pierwszą publiczną sesję naukową na temat „Zbrodni katyńska w świetle dokumentów”, wystawę fotogramów i rozpoczęliśmy wydawać tomiki pt. „Żołnierska droga przez mękę [Wielkopole w obozach sowieckich]” pod redakcją Piotra Bauera i Jerzego Zielonki. Jednym zdaniem Kościan zawsze pamiętał o tych, którzy walczyli o wolną Polskę. I nie był w tej

pamięci zamknięty, lokalny, prowincjonalny. W ten rys miasta wpisują się od lat władze powiatu ze starostą Andrzejem Jęczem, miasta z burmistrzem Michałem Jurgą i gminy z wójtem Henrykiem Bartoszewskim, które – pamiętając o własnych bohaterach – podejmują działania szersze, wielkopolskie i krajowe, wychodząc z założenia, że Polska,

Jubileusz pułkownika Górskiego

15 kwietnia 2012 r. pułkownik Jan Górski, prezes Zarządu Okręgu „Wielkopolska” Światowego Związku Żołnierzy Armii Krajowej obchodził 90. urodziny. Z tej okazji Marszałek Województwa Wielkopolskiego wspólnie z Zarządem ŚZŻAK zorganizowali spotkanie na cześć dostojnego Jubilata. Pełnomocnik marszałka do spraw kombatanów Ewa Rakowska – Staniak przedstawiła życiorys pułkownika Górskiego. W wypełnionej sali Urzędu Marszałkowskiego w Poznaniu goście odśpiewali prezesowi „Dwieście lat”. Były liczne życzenia od władz województwa i miasta, wiązanki kwiatów od przyjaciół i tradycyjny tort.

W uroczystości uczestniczyli m.in.: dyrektor Gabinetu Marszałka - Tomasz Grudziak, przewodniczący Rady Miasta Poznania - Grzegorz Ganowicz, dyrektor Biura Prezydenta Poznania - Marek Kalemba, dyrektor poznańskiego oddziału IPN - dr Rafał Reczek, komendant Garnizonu WP Poznań - mjr Wojciech Nawrocki, dyrektor VIII LO w Poznaniu - Marek Greffling oraz wiceprezes Wielkopolskiego Stowarzyszenia Przyjaciół AK - Małgorzata Wiater.

Na spotkaniu – jako jedyny – reprezentowany był powiat kościański. Delegacja z Kościana przekazała pułkownikowi Górskiemu specjalny adres gratulacyjny, w którym starosta Andrzej Jęcz podkreślił

nieprzeciętne zasługi Jubilata w walce o suwerenną Polskę w czasie II wojny światowej i po jej zakończeniu, a także cechy jego osobowości, jak: patriotyzm, prawość i wierność ideałom. (J.Z.)



Jubilat przyjmuje życzenia od dyrektora poznańskiego oddziału IPN dra Rafała Reczka.
Fot. Jerzy Zielonka

nasza Ojczyzna – tak czy owak – jest jedna.

Nie zdziwiłem się więc, że właśnie w Kościanie odbyły się wielkopolskie uroczystości 70 – lecia przekształcenia Związku Walki Zbrojnej w Armię Krajową. Przyjąłem to jako potwierdzenie faktu, że niezależni historycy i regionaliści w tym powiecie zawsze znajdują zrozumienie i pomoc. W owe ponadlokalne publikacje kościańskie wpisuje się także mg. Teresa Masłowska opracowaniem pod pięknym i wymownym tytułem „Jeśli zapomnę o Nich...”. *)

Każdy, kto gromadzi dane np. o własnej rodzinie wie, ile czasu potrzeba, aby zebrać podstawowe – zdawałoby się proste – informacje. T. Masłowska podjęła się zadania trudnego i wymagającego iście benedyk-

tyńskiego wysiłku. Opierając się głównie na dokumentacji Światowego Związku Żołnierzy Armii Krajowej – Okręg „Wielkopolska” stworzyła listę nazwisk członków tego Związku, zmarłych w latach 1989 - 2011 i opatrzyła ją krótkimi biogramami. Uczyniła to jako pierwsza w Wielkopolsce i jako pierwsza w kraju. Już tylko z tego względu należy się jej uznanie, bo dostarczyła żyjącym akowcom i kolejnym historykom podstawowego materiału do poprawek, uzupełnień i dalszych, wnikliwych badań biograficznych. Opracowanie to w rzędach nazwisk zawiera też ważne przesłanie: - Oni tak szybko odchodzą; pamiętajmy o Nich, kiedy jeszcze żyją i nie zapomnijmy o Nich nigdy.

Wiem dlaczego Autorka podjęła

się tego dzieła. Zapewne książka ta nie powstałaby, gdyby nie fakt, że Teresa Masłowska jest najmłodszą córką śp. Aleksandra ps. „Zuch” – żołnierza 8 Brygady Wileńskiej Armii Krajowej i członka Światowego Związku Żołnierzy AK. Ona – po prostu – spełnia nie spisany ojcowski testament i mam nadzieję, że obranej tematyce badawczej pozostanie wierna.

**PROF. DR HAB.
BOGUSŁAW POLAK**

*) Teresa Masłowska, Jeśli zapomnę o nich... [Lista członków Światowego Związku Żołnierzy AK – Okręg Wielkopolska zmarłych w latach 1989-2011], Wierni Niepodległej, t. V, Starostwo Powiatowe w Kościanie, Kościan 2012.

Ten tekst powstał w 2009 roku. Napisał go Marek - syn prof. dra hab. Janusza Stanisława Grądzkiego dwa dni po śmierci ojca i opublikował w „Gazecie Wyborczej” na trzy dni przed pogrzebem.

Żegnaj Tato...

Był dla nas synów, uosobieniem chodzącej mądrości, niczym sowa, co wyskoczyła z głowy Ateny, znał odpowiedź na każde pytanie szczeniaków. Wiedział, gdzie leży każde miasto, skąd wypływa i gdzie wpada każda rzeka, znał każdego autora i każdą lekturę. W pewnym momencie przestał rozwiązywać krzyżówki. Co to za frajda, gdy się wszystko wie i tylko pozostaje wypełnić

kratki. Równocześnie był pełnoprawnym spadkobiercą tradycji Kmicica. W czasie wojny – żołnierz AK – dowódca poczty, placówka SAN w powiecie skierniewickim, dywersant z Oddziału Specjalnego mający na swoim koncie wysadzenie pociągów, rozbijanie wrażeń placówek, asysty przy zrzutach

ganil jacht, znany później jako „Kolobrzeg”.

W Poznaniu wylądował niesiony falą powojennych przemieszczeń, licząc na to, że na wydziale lekarskim tutejszego Uniwersytetu nie będą zbyt dokładnie czytali jego życiorysu i nie dopatrzą się partyzanckiej przeszłości, darując też inteligentnie pochodzenie. Tak też się stało. Na stomatologii studia rozpoczęła jego

skiej z bliska i prowadził szpital PCK w Ham-Hym, wykładając tam radiologię na wydziale lekarskim. To była bowiem jego największa pasja życia. Zbadać, zobaczyć co się dzieje w ludzkiej głowie, prawidłowo zdiagnozować i oddać w ręce innych lekarzy. W czasach głębokiej komuny na takich jak on patrzono z politowaniem. Nie miał bezpośredniego kontaktu z pacjentem, co ustawiło go w cieniu.

Jego pasją był CZŁOWIEK. Widział go tylko przez rentgenowską kliszę i to mu wystarczało. Próbowano go zaszufadkować i wtłoczyć w biurokratyczne ramy, więc dwa lata był dyrektorem szpitala w Poznaniu przy ul. Przybyszewskiego, ale traktował to jako mało znaczący epizod.

Jako pierworodny powinienem zostać lekarzem, tymczasem mnie poniosło w meandry ekonomii, potem dziennikarstwa.



Profesor z żoną w 1959 roku.

Fot.(2x) ze zbiorów rodzinnych.

broni. To musiało działać na naszą szczenięcą wyobraźnię. Kawał chłopa z dłonią jak bochen chleba. Do tego wyśmienity żeglarz, jeden z budowniczych ówczesnej potęgi sekcji AZS w Kiekrzu, ten który od Ruskich za bimber wycy-

przyszła żona (z życiorysem córki przedwojennego wysokiego rangą oficera) oraz siostra.

Nawet po ślubie kozaka nosiło, czuł zew przygody. Nie przytrzymał go nawet taki mały berbec jak ja, musiał przyjrzeć się wojnie koreań-

Straty odrobilem dopiero, osiadając na roli i gospodarując na hektarach. Stwierdził, że to atawizm, że odezwała się we mnie krew przodków, którzy nieprzerwanie od prawie sześciuset lat siedzą na ziemi wiznańskiej, w Łomżyńskim, broniąc ojcowizny

najpierw przed zaborcą, potem PRL-owską kolektywizacją. Humor poprawił mu dopiero młodszy brat Przemysław, który godnie broniąc nazwiska został lekarzem ginekologiem. Do tego doszła jeszcze wnuczka – Ania, studentka medycyny, czyli kolejna następczyni.

Pozwolę sobie przytoczyć konkluzję z oceny jego działalności naukowej i dydaktycznej wystawioną przez profesora Niezabitowskiego: „Janusza Grądzkiego znam od ponad trzydziestu lat jako jednego z najwybitniejszych polskich neuroradiologów i znakomitego nauczyciela. Dlatego, po dokładnej analizie jego osiągnięć naukowych i dydaktycznych, stwierdzam z całą odpowiedzialnością, że kwalifikuje się na stanowisko profesora zwyczajnego”. Jego dorobek to ponad 150 publikacji. Wielu dzisiejszych profesorów odbierało pierwsze szlify u Ojca. Cenił go świat zawodowy. Często, będąc czynnym, wyjeżdżał na sympozja, zjazdy, konferencje świata medycyny. Do Wiednia, Sztokholmu, Berlina, Stuttgartu,

Hamburga, Monachium. Wymieniać by długo.

Gdy dopadły go lata i starość, nie zakończył swojej aktywności zawodowej. Jeszcze trzy tygodnie temu, jako konsultant, odwiedził Wojewódzki Szpital dla Psychicznie i Niewowolnie Chorych w Kościanie. Mówił mi: – Słuchaj, chciałem zrezygnować, mam swoje lata, ale puścić mnie nie chcą; mówią: „Panie Profesorze, my bez Pana jak dzieci we mgle”. Jego doświadczenie pozwoliło uratować niejedno życie. Kościańska neurologia to jego ostatnia miłość.

W swoim życiorysie jeszcze ma jeden bardzo barwny epizod. Był konsultantem Aresztu Śledczego w Poznaniu. W domu znaleźć można było rentgenowskie klisze z utrwalonym pałakiem od wiadra w przelyku. Polityka mało go interesowała, patrzył na jej wiry z mądrością człowieka renesansu – wszystko przemija, tylko nauka jest wieczna. Z ludźmi z pierwszych stron gazet spotykał się jedynie na polowaniach, to wielka i pełna emocji jego pasja, której się poświę-

cał. W pokoju myśliwskim, w którym lubił przesiadywać, wisi na ścianach bez liku jego trofeów: poroży, dziki, lisy i ptactwo. Kochał las, poranne mgły, klągor zurawi, jelenie rykowisko. Jeszcze trzy tygodnie temu wychodził ze mną podglądać koziołki.

Wszystko runęło nagle, serce miał chore od wielu lat. Nikt się jednak nie spodziewał, że śmierć zabierze go tak szybko. Zdążył się jednak pożegnać ze wszystkimi najbliższymi. Silna wola trzymała go przy życiu dopóty, dopóki nie stanęła przy nim ostatnia z wnuczek, by ucałować dziadka. Odszedł pogodzony z życiem, z uśmiechem na ustach, spełniony życiowo, 18 sierpnia tego roku po godzinie 9 rano. Zostaliśmy my, jego bliscy, niezadowoleni, że trwał tak krótko. Tylko 84 lata, a przecież można dłużej. Bądź pozdrowiony w Krainie Wiecznych Łowów. Niech Święty Hubertus będzie dla Ciebie łaskawy Tato!

MAREK GRĄDZKI

Zaświadczenie

Niniejszym zaświadcza się, iż ob. Grądzki Janusz pseud. „Probar” nr. 20.1-254.4 Łódź, zamieszkały w jeziorze wstąpił do SPK jesienią 1942r., pełniąc funkcję kpr. obserwatora w powiecie Łódź Rejonu Sam w służbie. Pełnił on również funkcję członka oddz. spec.

Przewodniczący Rejonu

Władysław Kpr. ps. „Wysoki”

Skiermiewice, 2. VI. 47.

Właściwość podpisu



Dzienniki Macieja Morawskiego (XII)

Gdzie są chłopcy z tamtych lat?

Maciej Morawski, były korespondent paryski Radia Wolna Europa, rodem z Jurkowa, od lat systematycznie pisze dzienniki. Większość zapisków zdeponował w Bibliotece Polskiej w Paryżu. Tradycyjne zeszyty poszły w ką, a Maciej Morawski zamienił pióro na klawiaturę komputera. Poniżej drukujemy jedenasty odcinek wyjątków z dzienników pisanych w 2012 r. Czytać je można w całości na internetowej stronie: www.maciejmorawski.blox.pl

2 kwietnia

Chcę odnotować, że Kościan raz jeszcze wykazał się mogącymi innym służyć za przykład: kultem historii i patriotyzmem. 29 marca odbyły się tam uroczyste obchody 70. rocznicy powstania AK. Kościański Teatr Kameralny wystawił sztukę cenionego autora dramatycznego i reżysera Janusza Dodota pt.: „Gdzie są chłopcy z tamtych lat?”. Ponoć jedną z głównych postaci była dziewczyna z AK, wzorowana na mej siostrze Magdzie, która 6 sierpnia 1944 r. poległa w Powstaniu Warszawskim. Magda, dobrze zapowiadająca się poetka, pisała przed laty: „Żegnaj. Odechodzę, głos mnie woła tajemny jak czary, które w noc świętojańską rusałki wyśnily - Ja ten sam zawsze pielgrzym, pielgrzym nie poznany - Prawnik polskiej legendy na szlaku zawiłym. - Taka jest moja młodość. Daleka legenda. - O mękę rozpostarta na wietrze jak sztandar”.

Po tym, jak slysze, bardzo wzruszającym spektaklu, dr Waldemar Handke - w ramach sesji popularnonaukowej dotyczącej wkładu Wielkopolan w tworzenie Polskiego Państwa Podziemnego - miał ciekawy odczyt. W czasie sesji promowano nową książkę Teresy Masłowskiej pt.: „Jeśli zapomnę o nich...” Książka z serii „Wierni Niepodległej” zawiera dokumentalny rejestr żołnierzy Polski Walczącej, którzy po upadku komunistycznej dyktatury wstąpili do Oddziału „Wielkopolska” Światowego Związku Żołnierzy AK.

Na ręce niestrudzonego redaktora Jerzego Zielonki - historyka Ziemi Nadobrzeńskiej i jej walki o wolność Polski - Powiatowi, Miastu i Gminie Kościan przesyłam z Paryża wielkie brawo!

4 kwietnia

Docierają do mnie zapytania dotyczące naszego Domu w Lailly en Val, który odegrał w czasach PRL tak wielką rolę zapewniając spokojną starość polskim uchodźcom politycznym. Cmentarz w Lailly to sanktuarium polskiej emigracji walczącej. Znajdują się tam groby licznych działaczy emigracji niepodległościowej. Spoczywają dwaj generałowie WP Antoni Trzaska-Durski, wielce, na emigracji we Francji, zasłużony w walce z komunistami oraz Jan Kruszewski, były długoletni dowódca i reorganizator Korpusu Ochrony Pogranicza, dalej dr praw Stanisław Paczyński, swego czasu redaktor bojowo-emigracyjnego pisma Syrena, później dyrektor Domu w Lailly. Leży tam wielu akowców, wielu działaczy emigracyjnego SPK. Wspomnę wreszcie o grobie mych rodziców: Kajetana Morawskiego, pierwszego z wszystkich ambasadorów akredytowanych przy Francuskim Komitecie Wyzwolenia Narodowego (Algier, październik 1943 r.), człowieka cenionego przez de Gaulle'a, później przez prawie ćwierć wieku legendarnego - jak pisała prasa - „Ambasadora Wolnej Polski” we Francji, Maria Morawska była pierwszą przewodniczącą, mającego Dom w Lailly w swej pieczy, Polskiego Funduszu Humanitarnego. Wspomnę jeszcze, że słynny admirał Unrug, bohaterski dowódca obrony Helu we wrześniu 1939, pierwszy pensjonariusz Domu spoczywa w niezbyt dalekim od Lailly Montresorze. W 2006 r., w związku z uroczystościami 50-lecia Polskiego Funduszu Humanitarnego we Francji Dom odwiedziła śp. Pani Prezydentowa Maria Kaczyńska, ze śp. dyrektor Izabelą Tomaszewską. Trzeba wiedzieć, że Maria Kaczyńska specjalnym kultem otaczała tradycję niepodległościowej polskiej emigracji walczącej. Od 11 grudnia 2008 r., dzięki zabiegom euro-

posła Marcina Libickiego patronat nad Domem objął Parlament Europejski.

Niegdyś całkowicie zamieszkały przez rodaków, dzisiaj Dom liczy niewielu polskich pensjonariuszy. Doskonałym dyrektorem Domu jest doktor nauk humanistycznych UKSW Marek Szypulski. Kieruje Domem od 20 lat i - jeśli to tak można określić - postawił go na nogi, przeprowadził ogromne prace remontowe, całkowicie unowocześnił główny budynek -to jest zamek, rozpoczął przebudowę aneksu. Co do personelu, w swym składzie liczy sporo Polaków. Dyrektor Szypulski niestety jesienią br. chce przejść na emeryturę. Trzeba było znaleźć następcę. W myśl najnowszych przepisów dyrektor takiego Domu musi mieć ukończone ściśle określone studia uniwersyteckie. W tej sytuacji zarząd PFH musiał więc zaangażować Francuza, pana Fryderyka Adam, który studia ukończył w odpowiednim Instytucie Uniwersytetu w Limoges. Nowy dyrektor będzie miał za zadanie uwydatnić charakter europejski Domu, uczynić zeń wzorowe centrum eksperymentacji nowych metod opieki nad seniorami. Naturalnie zadbamy o to, by podtrzymać pamięć o polsko-emigracyjnych tradycjach, by szczególną opieką otaczać - nieraz odwiedzany przez rodaków i także przez francuskich przyjaciół Polski - cmentarz w Lailly, bo „Jeśli zapomnę o nich, Ty, Boże na niebie, zapomnij o mnie!” (Adam Mickiewicz, „Dziady”, I scena). Cmentarz ten specjalną opieką otacza członek Rady PFH i prezes Towarzystwa Opieki Nad Polskimi Zabytkami i Grobami Historycznymi we Francji - Barbara Kłosowicz-Krzywicka, oraz - także - Rada Ochrony Pamięci Walki i Męczeństwa. Obecnie trzeba jeszcze odnowić czy zastąpić nowymi dwa groby postaci historycznych - zasłużonego Generała WP oraz grób długoletniego Ambasadora, kawalera Orderu Orła Białego.

13 kwietnia

Dociera do mnie pytanie: „Dlaczego piszesz ten dziennik”? Odpowiedź prosta: chcę być kronikarzem pewnych aspektów polskiego życia w stolicy Francji (żałuję, iż takiej kroniki nie za-

czałem pisać 50 lat temu!). Chcę też przekazywać od czasu do czasu do kraju me uwagi: „widziane z Paryża” (niegdyś zamieszczałem tak zatytułowane teksty w piśmie „Unia&Polska”). No i istotnie – jako były długoletni pracownik RWE – stale czuję się i raz na zawsze pozostaję dziennikarzem! Samo narzuca się pytanie: jakim dziennikarzem pragnę być? Otóż moją ambicją jest być dziennikarzem autentycznie katolickim, unikającym polemik, starającym się podchodzić do wszystkich z wyrozumiałością i życzliwością. Znajomy zarzuca mi: „chcesz być dobrze z wszystkimi, nie potępiasz łobuzów”! Moja odpowiedź prosta: w mojej naturze leży chęć zrozumienia każdego, szukania u każdego jego dobrych stron. Tak, jest prawdą, że nie mam temperamentu polemisty, co nie zmienia faktu, że pracując w RWE potrafiłem wytykać wady, te lub inne ponure posunięcia ówczesnego systemu – winięm totalitarny reżim, a nie jego „instrumenty”. Po roku 1989 powołałem do życia w Warszawie Klub Imienia Giorgio La Piry (proces beatyfikacyjny La Piry jest w toku od r. 1986). Klub ten stawia sobie za zadanie dialog ponad podziałami, godzenie rodaków.

Jedno podkreślę: zawsze jestem gotów podejmować dialog z czytelnikami, zamieszczać ich wyjaśnienia. Staram się trzymać starej zasady, wpojonej mi przez człowieka głęboko wierzącego, jakim był mój ojciec: Pierwsze - nie szkodzić bliźniemu! Jestem skądinąd dogłębnie przekonany, że dziennikarze mają do spełnienia we współczesnej epoce ogromną rolę. Naszym zadaniem jest społeczeństwa informować o wszystkich ważnych wydarzeniach, informować rzetelnie.

27 kwietnia

Z dużym spóźnieniem odnotuję, że 24 marca w naszym Domu Spokojnej Starości w Lailly-en-Val zmarł Jan Winczakiewicz - poeta, dziennikarz, malarz oraz według doniesień prasowych „Czcigodny” polskiej loży masońskiej, Kopernik. Urodzony w Kielcach 6 marca 1921 – miał więc 91 lat! W czasie wojny był żołnierzem dywizji Generała Maczka, która w lipcu 1944 została przetrzebiona z Anglii do Normandii. Uczestniczył w słynnej bitwie na „Maczudze”, ale już wcześniej zasłynął z brawury. W czasie tejże kampanii został ranny w walkach nad kanałem Mark w Holandii.

Po operacji w lazarecie w Antwerpii samolotem przewieziono go do Anglii do szpitala w Leeds, a po miesiącu do polskiego szpitala pod Liverpooliem, gdzie spotkał się z - też ciężko rannym w bojach jeszcze w Normandii - Xawerym Pruszyńskim. Winczakiewicz w owym szpitalu napisał tom wierszy pt.: „Ballady Wojenne”. Te poezje zamieścił miesięcznik „Nowa Polska”, redagowany wówczas w Londynie przez Antoniego Słonimskiego. Podkreślę, że Winczakiewicz uchodził w dywizji Maczka, za oficera niezwyklej odwagi: odznaczono go Krzyżem *Virtuti Militari* oraz Krzyżem *Walecznych*. Po wojnie osiadł w Paryżu, pracował w Radio France. W 1963 r. z inicjatywy także i mego ojca, wówczas prezesa Fundacji Kościelskich, otrzymał nagrodę owej Fundacji. Tegoż roku, poza Winczakiewiczem Fundacja Kościelskich przyznała nagrody Zbigniewowi Herbertowi i Zygmuntowi Kubiakowi. Winczakiewicz sporo publikował. Np. w 1945 ukazały się dwa tomy jego poezji: „Akwarele” i „W mroku”. W bibliotece „Kultury” w 1958 r. ogłosił antologię pt.: „Izrael w poezji polskiej”. Opublikował świetny przewodnik „Polak zwiedza Paryż”. Był laureatem nagrody londyńskich „Wiadomości” za rok 1967. W 1992 r. ukazały się w wydawnictwie ZK Kalisz jego „Wiersze przesiane”, zaś w r. 1997 w wydawnictwie Alfa w Warszawie opowiadanie „Gdzie jest grób Hitlera?”. Winczakiewicz uprawiał także grafikę i malarstwo: miał szereg wystaw.

Przez długie lata Jan Winczakiewicz był ważną postacią sfer intelektualnych polskiego Paryża. Jednak sporo lat temu, na starość, wraz ze swą drugą żoną, wysoce inteligentną Francuzką, przeniósł się do bogatego historią i zabytkami miasta Blois. Ostatnio, złamany wiekiem i chorobą, osiadł w naszym Domu Spokojnej Starości w Lailly-en-Val, podtrzymując tym samym długoletnią naszą emigracyjną tradycję. Winczakiewicz spoczął na starym cmentarzu w Montmorency pod Paryżem.

28 kwietnia

Ostre protesty związane z odwołaniem przewidzianego na 3 maja, na 60. rocznicę powstania Rozgłośni Polskiej RWE - koncertu „Głos Wolnej Polski” w Teatrze Wielkim w Warszawie - docierają także do „polskiego Paryża”, w tym do mnie... Moja reak-

cja jest złożona. Dobrze rozumiem, iż konieczność odwołania od dość dawna zapowiadanej imprezy wywołuje zaskoczenie i niezadowolenie. Jednak w stwierdzeniu, iż z obchodów 60. rocznicy pierwszej audycji Rozgłośni Polskiej RWE nadanej do kraju z Monachium 3 maja 1952 „wyszły nici” - wydaje mi się być w pierwszym rzędzie wyrazem gorczy jednego w naszych najwybitniejszych kolegów, który widocznie bardzo się emocjonalnie zaangażował „w realizację owego Koncertu”. Wszak, co wysoce istotne, Senat RP uznał maj 2012 za miesiąc RWE, wszak Marszałek Senatu, jakże nam byłem pracownikiem ze względu na swój zyciorys bliski, Bogdan Borusewicz - 25 kwietnia 2012 w czasie inauguracji wystawy o RWE, w pięknym przesłaniu wpisanym do książki pamiątkowej naszego Stowarzyszenia im. Jana Nowaka wyraził wdzięczność redaktorom RWE za ich wytrwałość, pracę i bezprzykładne przywiązanie do kraju. Jak dowiaduję się z kilku relacji, sukcesem jest owa senacka wystawa „Głos Wolnej Europy”. Cieszę się, że jak widzę z nadesłanych mi zdjęć, w jej otwarciu uczestniczyli m.in: nasz prezes honorowy Władysław Bartoszewski, Andrzej Krzeczunowicz, Zdzisław Najder, Aleksander Świeżykowski, Andrzej Mietkowski oraz wielu innych mych kolegów i przyjaciół.

Ale najbardziej mnie cieszy, gdy się dowiaduję, że młodzi polscy naukowcy prowadzą badania dotyczące roli naszej Rozgłośni. Np. Krzysztof Wasilewski przygotowuje pracę badawczą o roli Polskiej Rozgłośni RWE „W walce propagandowej podczas zimnej wojny”. Później ma ponoć zamiar opracować monografię Rozgłośni. Jedno z miejsc odnotuję: w mym pojęciu naszym głównym zadaniem było po prostu „mówić prawdę”, odsłaniać to, co „reżim” i jego środki przekazu ukrywały. Dlatego tak ważne dla nas było zdobywanie takich informacji! Tak istotną była rola korespondentów informacyjnych oraz krajowych patriotów.

Wybr. i oprac.

TERESA MASŁOWSKA



Rok 1973. Klasa VIII d Szkoły Podstawowej nr 4 w Kościanie, do której uczęszczał bohater artykułu. Fot. ze zbiorów rodzinnych

Niech pozostanie pamięć (1)

Rozmowa z dr. Zdzisławem Kościańskim o prawdzie historycznej, narodowej pamięci, mitach dotyczących kawalerii, mediach i zobowiązaniach moralnych

Pański ojciec miał wiele pasji, które przekładały się na działania dla innych – pionierskie, jak na tamte czasy wprowadzenie do kościańskiego sanatorium muzykoterapii, czy współtworzenie orkiestry dętej Sanatorium w Kościanie (od 1970 roku Szpitala dla Psychicznie i Nerwowo Chorych w Kościanie). To dom rodzinny był dla Pana źródłem wartości dziś wyznawanych?

- Ojciec należał do pokolenia dotkliwie dotkniętego przez wojnę, w której stracił mamę, a w czasie wojny ojca, który zmarł w Obrze koło Wolsztyna, na terenie klasztoru, w szpitalu dla chorych na gruźlicę. Ojciec był najstarszy z rodzeństwa, które zostało przygarnięte przez wujostwo w Poznaniu. Część jego rodzeństwa trafiła nawet do Warszawy, gdzie przeżyła Powstanie Warszawskie. Ojca wywieziono na przy-

musowe roboty do Niemiec, gdzie przebywał do końca wojny. Kiedy wrócił do Polski, bo tęsknił za rodziną, okazało się, że domu rodzinnego już nie było, mieszkali tam inni ludzie. Pamiątek rodzinnych też niewiele pozostało. Musiał ułożyć życie od nowa. Pomogły mu jego ideały. Choć nie spełniło się jego marzenie, by zostać artystą malarzem, w wolnym czasie oddawał się pasji malarskiej. Właśnie w domu rodzinnym widziałem ojca, który po pracy malował konie, malował ulanów...

...Już rozumiem skąd to zamilowanie...

- Przyczynkiem do mojego wychowania było samo obserwowanie ojca, malującego, pracującego z pasją, grającego na puzonie. Gdy przychodzili znajomi ojciec obdarowywał ich tymi obrazami, a mama zawsze się martwiła, żeby jakieś dla nas pozostały. Jego praca zawodowa miała blaski i cienie, pamiętam, że władze próbowały zabro-

nić mu gry na puzonie w czasie Bożego Ciała. Skoro nie mógł użyć puzonu służbowego, pojechał do Poznania, kupił sobie własny i poszedł grać. Dziś ja posiadam ten instrument i on zawsze przypomina mi tamto wydarzenie. To, że w tamtych czasach umiał mieć własne przekonania i postawy. Oprócz atmosfery domu rodzinnego budowało też mnie to, że mieszkalem w Kościanie, mieście bardzo charakterystycznym, z bogatą historią, zabytkami, piękną farą i ludźmi. Przewijali się tutaj: Dezydery Chłapowski, który zarządził zadrzewienie Wielkopolski, Szczepanowski, twórca naftownictwa w Galicji, no i ludzie współcześnie mi bliscy - koledzy historycy, mieszkający niedaleko, nieżyjący Piotr Bauer, z którym miałem możliwość się przyjaźnić, wtedy dr dziś profesor Bogusław Polak - znany historyk Powstania Wielkopolskiego, dr med. Henryk Florkowski, redaktor Jerzy Zielonka, który przez lata

na łamach miejscowych gazet ściagał zbrodniarzy hitlerowskich i stalinowskich. Wychowało mnie też otoczenie domu rodzinnego, jego atmosfera, przeszłość wojenna, która wpłynęła na losy nie tylko mojego ojca, ale i mojej mamy. Jej ojciec został aresztowany, a następnie skazany na obóz koncentracyjny, gdzie po dwóch latach zmarł, a więc babcia została sama. Myślę, że losy tamtych rodzin były trudne, ale i uczące hartu ducha. Dziś na szczęście w naszych rodzinach mamy inne zdarzenia i obciążenia. Ból wojny już nas właściwie nie dotyczy.

Silna obecność przeszłości w domu rodzinnym była dla pana tym pierwszym impulsem do zajęcia się historią już na serio?

- Tak, inspirował mnie przede wszystkim ojciec, który wyrażał przeszłość pod postacią malunków szarżujących ułanów, co było jego formą wypowiedzi. Już jako mały chłopiec obserwowałem tych ułanów, coraz więcej o nich czytałem. Jako młody człowiek, w latach 70. miałem okazję słuchać początkujących wtedy historyków, którzy mnie zaciekawili. Pamiętam takie seminarium w Kościanie, na które przyjechał major Kazimierz Niezychowski z pobliskiego Granówka, specjalnie, żeby powiedzieć prof. Benonowi Miśkiewiczowi, że w jakimś zdaniu, w artykule prasowym się pomylił (śmiech)... No ale prof. Miśkiewicz wtedy nie przyjechał. Znamienny był jednak fakt, że w owym Granówku w połowie XIX wieku poznali się moi pra pra dziadkowie – Katarzyna Mejer – guwernantka i Feliks Kościański – nauczyciel. Major Niezychowski znał ich historię i pamiętał trochę już późniejsze losy mojej rodziny, co było dla mnie szczególnie cenne.

Dlaczego – mimo wielkiej pasji historycznej – na miejsce swojej edukacji ponadpodstawowej wybrał Pan poznańskie Technikum Kolejowe?

- Może to trudno teraz zrozumieć (śmiech). W tamtych czasach moi rodzice mieli przekonanie, że warto mieć w życiu pewny zawód. Na skutek tego, że wspomniane technikum ukończył też jeden z moich kuzynów – zawsze przystojny, w mundurze, co było nie bez znaczenia dla mojej mamy (śmiech), to i ja wybrałem się do tej szkoły, na specjalizację drogi i mosty kolejowe. Po szkole nawet podpisałem umowę o

pracę mistrza zrywki i układki w pociągu zmechanizowanym, ale dobrze się stało, że złożyłem papiery na wydział historyczny. Studiować zacząłem w ciekawym okresie, bo jeszcze w czasie socjalizmu. Gdy przyszedł rok 80. nagle wszystko zaczęło się dziać z większą intensywnością. Mogłem być obecny na różnych spotkaniach, rozmawiać z ważnymi dla tego okresu ludźmi, którzy akurat przebywali w Poznaniu. Miałem też ciekawych kolegów - był wśród nich Marek Jurek, Krzysiu Nowak – szef telewizji satelitarnej, koledzy z KPN. Ja wtedy już byłem "obciążony" tematem kawalerii i było wiadomo, że o niej będę pisał pracę magisterską. Jej tytuł brzmiał: Rola jazdy w wojnie polsko - radzieckiej 1920 roku. Pracę pisałem pod kierunkiem prof. dr hab. Karola Olejnika, ale zanim skończyliśmy studia przyszedł stan wojenny i wspólnie z kolegami mieliśmy problem, by prace z tymi „ciekawymi” tytułami obronić. Udało się w 1982 roku, przed pójściem do wojska, dzięki nieżyjącemu już dziekanowi prof. dr hab. Włodzimierzowi Pająkowskiemu....

Po studiach zaczyna się dla Pana „okres nowotomyski” czyli praca w nauczyciela w miejscowej szkole podstawowej.

- Prosto z wojska trafiłem do Szkoły Podstawowej nr. 1 w Nowym Tomyślu. Politycznie to był ciągle przysłowiowy "ciekawny czas". W 1982 roku jeszcze usiłowano naprawić ten realny socjalizm. Próbowano mnie zachęcić bym ukończył Wieczorowy Uniwersytet Marksizmu Leninizmu, nawet wysyłano mnie na rozmowy wychowawcze.

W tym okresie zajmowałem się też historią prywatnie, organizując seminarium, pisząc o froncie zachodnim Powstania Wielkopolskiego. Z tego czasu pochodzą publikacje „Bitwy września 1939”. Udało mi się też spotkać moich uczniów z kółka historycznego z rotmistrzem Janem Ładosiem, kawalerzystą. Spotkanie okazało się inspirujące dla Bartka Kruszyńskiego, który potem zajął się historią, bardzo ładnie obronił doktorat z historii wojskowości, a niedawno wydał świetną książkę: „Poznańczycy w wojnie polsko – bolszewickiej 1919 – 1921”, bogatą w zdjęcia i dokumenty. Takich spotkań było więcej dzięki pomocy i przychylności dla moich planów, jaką

wykazywał zawsze Czesław Krolek, ówczesny dyrektor biblioteki publicznej w Nowym Tomyślu.

W 1990 roku podjął Pan pracę w poznańskim kuratorium oświaty – dawała ona większe możliwości i może więcej satysfakcji?

- To był już czas „przełomu” i gruntownych przemian. Strona solidarnościowa wygrała wybory i trzeba je było „skonsumować”. Działano zgodnie z ideą, że ważne z wielu względów szkolnictwo, na szczeblu kuratoriów należy obsadzić nowymi ludźmi. Większość działaczy ZNP uparła się, żeby zaproponować na to stanowisko kogoś innego, a mnie różne media przedstawiały jako nie-doświadczonego. Może byłem nie-doświadczony (śmiech), jednak potrzebowano kogoś z całkiem nowej linii, a wspomniany kandydat, jako były inspektor nie miał szans. Wybrano mnie. Rolą kuratorów miało być wtedy nie tylko kontrolowanie, samodzielnych już, placówek szkolnych, ale przede wszystkim wspomaganie ich. To mi bardzo odpowiadało, tak jak wszyscy, uczyłem się czegoś nowego. To był czas wielkich zmian w regionie, więc moje przyjscie na to stanowisko wiązało się z obawami na miejscu – czy dojdzie do gruntownej wymiany dyrektorów, co się będzie działo. Ale ja byłem raczej zwolennikiem grubej kreski Tadeusza Mazowieckiego, nawet mam gdzieś podziękowanie od niego, bo pierwszą nagrodę w szkole, jaką dostałem przeznaczyłem na Fundusz Inicjatyw Społecznych Tadeusza Mazowieckiego.

Z tego co wiem, najbardziej satysfakcjonujące są dla Pana publikacje i działania, których celem jest ocalenie wspomnień, losów, sylwetek i wreszcie bohaterstwa polskich ułanów, kawalerzystów. Ta wielka pasja towarzyszy panu przez całe życie...

- Fascynacja nimi przerodziła się w pracę naukową podczas studiowania, pisania pracy magisterskiej. Lubię ten okres pamiętać ze spotkań z kawalerzystami, rozmów z nimi. Wyciągali zawsze pomocną dłoń, gdy chciałem się czegoś o nich dowiedzieć. Żołnierze III Pułku Strzelców Konnych, XVIII Pułk Ułanów Pomorskich... to



13 marca 1998 roku. Spotkanie z prezydentem RP Ryszardem Kaczorowskim (dr Kościński z prawej).

Fot. ze zbiorów rodzinnych

byli ludzie zawsze chętni do pomocy. Obecnie niedaleko Chojnic od 6 lat odbywa się uroczysta szarża, na którą przyjeżdża 12 tys. ludzi, są generałowie, piękne stroje, mundury. A ja pamiętam takie czasy, z początku lat 80., że jechaliśmy autobusem do Grudziądza, gdzie przed wojną było Centrum Szkolenia Kawalerii, jedna z największych uczelni tego typu w Europie i nikt nas wtedy tam nie witał. Rano się budziliśmy w grudziądzkim hotelu i autobusami zakładów mięsnych udawaliśmy się pod wieś Krojanty i do szkoły podstawowej w Nowej Cerkwi. Tam była cicha, lokalna uroczystość patriotyczna, z udziałem uczestników szarży (cdn)

SYLWIA KUPIEC

*) Zdzisław Kościński urodził się w Kościanie. Od 1983 roku związany z Nowym Tomysłem, gdzie po ukończeniu wydziału historycznego UAM i służbie wojskowej, podjął pracę jako nauczyciel historii w Szkole Podstawowej nr. 1. W latach 1990 - 2008 pracownik Kuratorium Oświaty w Poznaniu. W 2000 r. na podstawie rozprawy pt. "Organizacja i dzia-

łania wojenne samodzielnej kawalerii polskiej w 1939 roku" uzyskał stopień doktora nauk humanistycznych w zakresie historii. Na zaproszenie kawalerzystów II RP, prowadził kwerendę archiwalną w Wielkiej Brytanii, gdzie publikował w „Przeglądzie Kawalerii i Broni Pancernej”. Przez lata organizował na terenie Nowego Tomysła, Lwówka, Opalenicy, Zbąszynia, Wolsztyna, Stęszewa i Rakoniewic sesje popularnonaukowe oraz wystawy o tematyce historycznej. Od lat 80. niestrudzony badacz dziejów i twórca biogramów uczestników Powstania Wielkopolskiego. Przewodniczący Komisji Historycznej Zarządu Głównego Towarzystwa Pamięci Powstania Wielkopolskiego 1918-1919, członek Klubu Miłośników Dawnych Militariów Polskich w Warszawie. Za swoją działalność otrzymał szereg odznaczeń i wyróżnień: Odznakę Honorową Sybiraka, Odznakę Pamiątkową 18 Pułku Ułanów Pomorskich, 6 Pułku Pancernego „Skorpion”, nagrodę Towarzystwa Pamięci Powstania Wielkopolskiego 1918-1919 „Dobosz Powstania Wielkopolskiego”, Brązowy Krzyż Zasługi, Odznakę Honorową za Zasługi dla

Województwa Wielkopolskiego, Srebrny Medal Opiekuna Miejsc Pamięci Narodowej, tytuł członka nadzwyczajnego Koła Krechowiaków w Londynie i Instytutu im. Gen. Stefana „Grota” Roweckiego w Lesznie. Jest autorem kilkunastu książek i ponad 400 artykułów o tematyce kawaleryjskiej, powstańczej i regionalnej. Popularyzuje historię na łamach prasy lokalnej, m.in. „Przeglądu Nowotomyskiego”, dwutygodnika „Powiaty – Gminy”, „Wokół Błędną”, „Echa Opalenickie”, w latach 1986 -1993 na łamach „Wiadomości Nowotomyskich” i jego dodatku „Orędownika...”. Redaguje stronę internetową Komisji Historycznej Zarządu Głównego Towarzystwa Pamięci Powstania Wielkopolskiego 1918/1919 : www.powstanie-wlkp.org/sk

**) Tekst jest wyborem fragmentów obszerniejszej rozmowy, jaką przeprowadziła z dr. Zdzisławem Kościńskim Sylwia Kupiec, pracownica Miejskiej i Powiatowej Biblioteki w Nowym Tomysłu. Całość zamieszczono w kwartalniku „Przegląd Nowotomyski” nr 2/14 z 2010 roku.

Śladami siostry Joanny (III)

Dom Generalny na Pławnej

Następnego dnia, ledwie anioł świtu rozpostarł swoje skrzydła, wstajemy z myślą o wyjeździe do Warszawy. Słońce radośnie budzi świat, niebo bez jednej chmurki, a w naszym planie kolejny etap i niezwykła okazja. Mamy odwiedzić kościół św. Marcina i klasztor Matki Boskiej Pocieszenia przy ulicy Pławnej w Warszawie. Siostra Daria siada za kierownicą, ruszamy. Zaraz za bramą matka Anna Maria rozpoczyna głośne modlitwy. Na drodze niesamowity tłok, od pojazdów na sąsiednim pasie dzielą nas centymetry, trasa trudna, droga kręta. Chwilami wydaje się, że tylko te modlitwy mogą nas uratować. Stare Miasto wita zgiełkiem i „korkami”. Stajemy przed zwyczajną, żelazną bramą, a za bramą – inny świat. Mały plac, którego centralnym miejscem i ozdobą jest oczko wodne, otoczone wypielęgnowanymi roślinami. Cisza, spokój, piękno kreują baśniowy niemal klimat.

Kościół św. Marcina jest jednym z najstarszych kościołów w Warszawie. Zbudowano go około 1356 r. W przylegającym do świątyni klasztorze zamieszkałi ojcowie Augustianie. Opiekowali się kościołem, w którym od XVI w. odbywały się sejmiki mazowieckie, a przybywająca na nie szlachta zostawiała w kościele liczne vota. Po powstaniu styczniowym w 1863 r. car Aleksander II zarządził kasację zakonu; kościół przeszedł pod zarząd biskupstwa warszawskiego. Walki 1944 r., podczas Powstania Warszawskiego, spowodowały zupełne zniszczenie świątyni i bogatego, barokowego wystroju. Także klasztor uległ całkowitemu zburzeniu.

W 1956 r. Prymas Polski Stefan Wyszyński powierzył opiekę nad kościołem i klasztor Zgromadzeniu Sióstr FSK z Łasek. Ich staraniem cały kompleks został odbudowany; umieszczono tu klasztor Matki Boskiej Pocieszenia i Dom Generalny Zgromadzenia. Pierwszym rektorem kościoła ustanowiono ks. Bronisła-

wa Dembowskiego. Kiedy ten został biskupem wrocławskim, zastąpił go ks. Andrzej Galka, który prowadzi też Duszpasterstwo Niewidomych. Pięknie prezentuje się fasada kościoła św. Marcina odnowiona w latach 2007-2009.

Wchodzimy przez krućkę do nawy głównej i zachwycamy się wystrojem wnętrza. W nawie bocznej, od strony południowej ze ścian spoglądają historyczne postaci; nawa zakończona jest kaplicą Matki Bożej Pocieszenia. Wyniosła świątynia ma swoją sławę. Od strony południowej znajduje się historyczna kaplica św. Franciszka, gdzie od 24 maja 1977 r. trwała dwutygodniowa głódówka opozycjonistów w obronie aresztowanych robotników, a Tadeusz Mazowiecki był ich rzecznikiem prasowym.

Powojenny wystrój kościoła został zaprojektowany i wykonany pod nadzorem siostry Almy Skrzydlewskiej FSK (ur. 1930 r.), spokrewnionej z siostrą Joanną Lossow (s. Alma - wnuczka rodzonej siostry ojca s. Joanny), dziś mieszkającej w Łaskach. Na szczególną uwagę zasługują stacje drogi krzyżowej wykonane rzadką techniką sgraffito. Niezapomniane wrażenia potęguje symbolika i metafora, wszechobecne na ścianach tego kościoła.

W tym kompleksie mieści się też Biblioteka Wiedzy Religijnej. Siostra Dąbrowska, opiekująca się księgozbiorem, chętnie pokazuje dzieła z zakresu teologii, filozofii, sztuki sakralnej, literatury religijnej, m.in. dzieła Jana Pawła II. Początki biblioteki sięgają początku XX w., kiedy hrabina Irena Tyszkiewiczowa zgromadziła trochę książek w swoim domu przy ulicy Litewskiej. W ostatnich latach przed II wojną biblioteka miała już 17 tysięcy tomów. W czasie Powstania Warszawskiego została całkowicie spalona. Irena Tyszkiewiczowa, już jako siostra zakonna, po wojnie zaczęła organizować bibliotekę w Łaskach. Szybko powiększający się księgozbiór w 1957 r. przeniesiono do domu Zgromadzenia przy ul. Pławnej w Warszawie. Obecnie biblioteka ma 70 tysięcy woluminów.

W kościele św. Marcina odbywają się w każdy ostatni czwartek miesiąca nabożeństwa ekumeniczne. Od dawna panuje tu duch dialogu między religiami. Ponadto kościół przy Pławnej jest miejscem modlitwy różnych środowisk, między innymi Klubu Inteligencji Katolickiej. Tutaj, w klasztorze mieści się też ekumeniczny Ośrodek „Joannicum”, założony przez siostrę Joannę Lossow, a po jej śmierci prowadzony przez siostrę dr Marię Krystynę Rottenberg. Mieszkające tu siostry służą niewidomym na różnych etapach ich życia. Prowadzą też kuchnię dla najbardziej potrzebujących z nich. Niezależnie od tego świątynia pełna jest turystów – polskich i zagranicznych. Co chwilę całe grupy wysypują się w pobliżu z autobusów i ciągną na Pławną.

To kościelno-klasztorne założenie ma wiele pomieszczeń, nawet zakamarków. Matka Anna Maria prowadzi nas do niewielkiej, nowoczesnej kuchni-jadalni, gdzie czeka mały poczęstunek. Siostry same pieką smaczne ciasta. Tu kończy się nasz wyjazd, który okazał się prawdziwą wyprawą. Opuszczamy to rajskie miejsce; siostra Daria wiezie nas z powrotem do Łasek. Wraz z rozpoczęciem podróży rozpoczynają się modlitwy pod przewodnictwem matki Anny Marii. Wtóruje jej ks. Stanisław Hoinka, który kiedyś był księdzem na Pławnej i duszpasterzem niewidomych, teraz jest duszpasterzem w Kazachstanie, przyjechał do Polski na urlop i właśnie jedzie do Łasek.

Przed nami mile spotkanie, przyjeżdżają państwo Teresa i Maciej Jakubowscy. Pani Teresa Jakubowska, psycholog, pochodzi z Głuchowa w Kościańskim, jest córką Marcelego Żółtowskiego, zamordowanego w Katyniu. W jego intencji, co roku w kwietniu odprawiana jest msza św. w kościele w Głuchowie, na którą zjeżdża bliższa i dalsza rodzina Żółtowskich. Pani Teresa, nazywana Renią, mieszka z mężem w Warszawie, pan Jakubowski, prawnik, od lat związany jest z Ła-



Modlitwa wieczorna.

Fot. Hanna Wiśniewska – Śliwińska

skami. Państwo Jakubowscy są zaprzyjaźnieni z matką generalną, wprost zadomowieni w Laskach; drogę z Warszawy do Lasek przemierzają dość często. Stąd to spotkanie tam zaplanowano. Z panią Renią znamy się z wielu telefonicznych rozmów i korespondencji; była tak miła, że zaproponowała nam parodniową gościnę u siebie, ale przejazdy skradłyby nam wiele czasu. Spotkanie po części rekompensuje tę propozycję i towarzyszy mu bardzo sympatyczna atmosfera, na co też ma swój wpływ matka Anna Maria.

Tradycja i nowoczesność

Wszystkie wolne chwile przeznaczone są na rozmowy z matką Anną Marią Sikorską i siostrami, głównie tymi, z którymi stykam się z racji pełnionych przez nie funkcji. Siostry pochodzą z różnych stron Polski, ale także z Rosji, Albanii, Ukrainy. Często zadają trochę przewrotne pytania: Jak to się stało, że siostra, pochodząc np. z Rzeszowa, nie znalazła się w klasztorze bliżej miejsca za-

mieszkania? I zawsze, po wyjaśnieniach, słyszę to samo zdanie: „Pan Bóg tak pokierował”, bo zasadą życia franciszkanki służebnicy Krzyża jest odczytywanie wszystkiego w świetle wiary. „>Miłość Chrystusa przynagla nas<, >Pokój i radość w Krzyżu< – te hasła są dla sióstr ciągłym wezwaniem do umiłowania krzyża i do służby Chrystusowi w Jego cierpiących braciach, zwłaszcza niewidomych, lub dalekich od Boga – niewidomych na duszy”. (Konstytucje II.12) W tym duchu sformułowany jest też codzienny akt ofiarowania sióstr FSK: „Panie Boże mój, Tobie ofiaruję krzyż mój codzienny, z miłości ku Tobie, w zjednoczeniu z Męką Pana Jezusa, na większą cześć i chwałę Twoją, na intencję Ojca Świętego, Kościoła Świętego i Ojczyzny, na zadośćuczynienie za grzechy moje, za grzechy całego świata, a w szczególności za duchową ślepotę ludzi. Przez Chrystusa, Pana naszego. Amen”. Treść życia w Laskach najpełniej oddają słowa zapisane u początków Dzieła Lasek przez Matkę Czacką: „Dzieło to z Boga jest i dla Boga, innej racji bytu nie ma.

Gdyby zбочyło z tej drogi, niech przestanie istnieć”.

Pierwszy etap zakonnego życia, zwany „postulatem” trwa od roku do dwóch w Laskach. Kandydatki poznają życie zgromadzenia, uzupełniają wykształcenie, głównie religijne i poznają pracę z niewidomymi. Dwuletni „nowicjat” służy pogłębieniu dojrzałości przyszłych zakonnice i ma miejsce w Warszawie na Piwnej. „Juniorat” – pięcioletni okres czasowych ślubów, to czas pogłębiania wiedzy religijnej i zawodowej oraz wchodzenia w dojrzałe zakonne życie.

Zgromadzenie ma swoje placówki we Włoszech, Indiach, RPA, Rwandzie, na Ukrainie. Wszędzie siostry FSK służą niewidomym, przede wszystkim dzieciom. Ciekawa jest rozmowa np. z siostrą Agatą, która spędziła dziesięć lat w Indiach czy siostrą Bogumiłą; ta wróciła do Lasek po dwóch latach pobytu w RPA. Matka generalna odwiedza te placówki z różnych okazji, za kilka dni jedzie na Ukrainę.

Kiedy zgromadzenie powstawało, zgłaszały się do zakonu dziewczyny,

które często nie umiały czytać. Takich, jak siostra Joanna Lossow – z wyższym wykształceniem – było niewiele; dziwiły się kiedyś, że ona umie czytać. Dziś siostr bez wyższego wykształcenia jest bardzo mało. Wiele z nich pisze, najczęściej artykuły na temat swojej pracy, historii zgromadzenia i Dzieła Lasek. Zdziwiłby się ten, kto uważałby, że to miejsce jest słabo dotknięte cywilizacją czy nowoczesną techniką. W pracy powszechne w użyciu są komputery, telefony komórkowe; siostry korzystają z Internetu, poczty elektronicznej. Wiele z nich perfekcyjnie obsługuje laptopy. Kiedy dowiedziałam się, że napisze do mnie matka generalna Anna Maria, spodziewałam się listu w skrzynce pocztowej. Tymczasem otrzymałam go e-mailem; nie ukrywam, że wzbudziło to moje zdumienie, które jeszcze wzrosło, kiedy jeden z listów (elektronicznych) nadszedł z Asyżu. SMS-ami też się posługujemy. Chrześcijańska tradycja i nowoczesność.

Ale mimo wszystko, najbardziej zadziwiający jest ich sposób bycia. Spokojne, życzliwe, uśmiechnięte; nawet te, z którymi spotykałam się tylko, mijając w alejkach. Otwarte na wartości, płynące z codziennych działań, oddające się na służbę osobom cierpiącym z niepojętą prostolinijnością, wyzwolone z ziemskiego życia pragnień, o zadziwiającej wręcz skromności osobistej. Zadowolone, pogodne, jakby chciały powiedzieć, że poza Laskami nie ma życia. Zrozumieć to miejsce, to tak, jak zrozumieć niemożliwe. Warto było tu przyjechać, by chłonąć tę niespotykaną atmosferę. W życiowej pogoni, której towarzyszy dokuczliwy brak czasu, wiele osób tu znajduje miejsce na refleksję nad sobą i życiem. Nic dziwnego, że Laski ściągają ludzi z całej Polski, i oni chcą tu wracać, do tych ludzi, często zatraconych w modlitwie, otwartych na drugiego człowieka, nie mających lęku o jutro, dla których pięknie przeżyty dzień jest największą wartością.

Teraz lepiej rozumiem list siostry Joanny Lossow, wówczas nazywanej jeszcze Halą, która po swoim pierwszym pobycie w Laskach, trzy lata przed wstąpieniem do klasztoru, do matki Czackiej napisała m.in.: „Dziękuję drogiej Matce całym sercem, że mogłam być w Laskach i trochę z tego

zabrać ze sobą... Do tej chwili zrozumieć nie mogę, że to ja byłam w Laskach... że Matka i ci wszyscy inni istnieją naprawdę... że taki kąt jak Laski w Polsce istnieje...”

Miła atmosfera przechodzi moje oczekiwania ostatniego dnia. Matka Anna Maria przychodzi nas pożegnać, dołącza siostra Faustyna, przynosi książki z dedykacjami dla nas i dla ks. Stanisława Tokarskiego, proboszcza w Racocie. Ciepła atmosfera, wzbogacona aromatyczną kawą i dobrym ciastem – jak w rodzinie. Dziękujemy za tak serdeczne przyjęcie i możliwość poznania tak niezwykłych ludzi. To miejsce, którego sława dawno przekroczyła granice kraju, ma pewną tajemnicę, co powoduje, że nie chce się stąd wyjeżdżać.

Palmiry

Zgodnie z naszym planem poznania okolic Lasek, zdecydowałyśmy, że nadłożymy kilka kilometrów i pojedziemy odwiedzić Palmiry; uroczyste otwarcie odnowionego mauzoleum. Jest to miejsce pamięci narodowej z grobami 2 tysięcy Polaków, położone na południe od wsi Palmiry, w Kampinoskim Parku Narodowym – teren zbrodni hitlerowskich w czasie II wojny światowej.

Palmiry, to miejsce symboliczne. Niemcy przeprowadzili w okolicznych lasach 21 masowych mordów, głównie więźniów politycznych, przywożonych z Warszawy. Między grudniem 1939 r., a lipcem 1941 r. na „palmirskiej polanie śmierci” zginęło ponad 1700 osób. Po wojnie Polski Czerwony Krzyż przystąpił do ekshumacji zwłok w Palmirach i okolicznych miejscowościach; powstał cmentarz – mauzoleum. Wśród grobów jest wiele mogił znanych ludzi, np. Janusza Kusocińskiego – złotego medalisty na Olimpiadzie w Los Angeles w 1932 r. czy Macieja Rataja, marszałka sejmu. W 1973 r. zostało powołane Muzeum Walki i Męczeństwa w Palmirach, które od 1980 r. jest oddziałem Muzeum Historycznego m. st. Warszawy. Stworzono stałą ekspozycję, prezentującą fotografie, dokumenty i rzeczy związane z ofiarami hitlerowskich egzekucji.

W 2010 r. rozpoczęła się budowa nowego muzeum, które otwarto 30 marca 2011 r. z udziałem prezydenta Bronisława Komorowskiego, prezydenta

Warszawy Hanny Gronkiewicz-Waltz, przewodniczącego Rady Ochrony Pamięci, Walk i Męczeństwa Władysława Bartoszewskiego oraz Prymasa Seniora ks. kardynała Józefa Glempa. Zakład w Laskach reprezentowali: prezes Zarządu TOnO – Władysław Gołąb i dyrektor administracyjny – Adam Kubicki. Nowe muzeum ma postać surowego budynku z betonu i szkła, wkomponowanego w kampinoski las. Dyskretnie wtopione w tło, upamiętnia smutne losy Polaków i przypomina o czasach, które giną w mrokach historii.

W nastrój zadumy wprawiają już przy wejściu umieszczone słowa: „Łatwo jest mówić o Polsce, trudniej dla niej pracować, jeszcze trudniej umierać, a najtrudniej cierpieć”. Przeniesione zostały tu ze ściany więziennej celi w Alei Szucha, które napisał tam nieznaną więzień. Nowa ekspozycja poświęcona jest egzekucjom w Palmirach i na terenie Puszczy Kampinoskiej w latach 1939- 1943, a także wydarzeniom na tym terenie w okresie II wojny światowej. Przez przeszklone ściany widać cmentarz w Palmirach. Ten widok zapiera dech w piersiach. Ważną część ekspozycji stanowią wykazy nazwisk pomordowanych, biogramy niektórych ofiar, fotografie, pamiątki przekazane przez rodziny, niemieckie zaświadczenia o śmierci więźniów oraz przedmioty z ekshumacji. Ekspozycję uzupełniają urny z ziemią z różnych miejsc pamięci narodowej, tradycyjnie składane w Palmirach. Klimat tego miejsca podkreślają dużych rozmiarów grafiki, specjalne oświetlenie i podkład dźwiękowy.

Rezygnujemy z odwiedzenia Muzeum Fryderyka Chopina w Żelazowej Woli, bo i nastrój nie ku temu, i nie chcemy przerywać naszych wspomnień z czasów II wojny światowej, zasłyszanych dużo wcześniej, które wywołała na nowo palmirska atmosfera, o której towarzyszyć nam będą jeszcze przez dłuższy czas w powrotnej drodze. Ale mamy nieśmiałą nadzieję, że Muzeum odwiedzimy następnym razem. (Koniec)

TERESA WIŚNIEWSKA

Kościan rzemiosłem stał (1)

W Poznaniu, w 1899 roku, dr med. Klemens Koehler wydał książkę pt. „Dawne cechy i bractwa strzeleckie [Rzecz osnuta o cechach i o bractwie strzeleckim w Kościanie]. Tą obszerną i rzetelną publikację historycy cenią do dzisiaj. Stanowi bowiem – na przykładzie Kościana - gruntowną analizę powstania i rozwoju rzemiosła wielkopolskiego. Jej znaczenie jest tym większe, że oparta została na badaniu dokumentów archiwalnych, z których wiele uległo rozproszeniu lub wręcz zniszczeniu w czasie II wojny światowej. Godzi się dodać, że w maju br. powstała w Kościanie grupa badawcza, która za cel przyjęła opracowanie historii kościańskiego młynarstwa, piekarnictwa i rzeźnictwa od czasów najdawniejszych poczynając do współczesności. Drukujemy obecnie fragmenty unikalnej już książki dra Koehlera uważanego też za ojca kościańskich regionalistów. Zachowano pisownię oryginału. Wyboru dokonała Teresa Masłowska.



Okładka książki. Za Wielkopolską Biblioteką Cyfrową

Cech czapników

Szczupłe tylko zachowały się wiadomości o tym cechu, że zaś istniał w Kościanie zapis dla bractwa tego w roku 1592 zrobiony. Dalej znajdujemy na obligacji z roku 1614 pieczęć pileatorum, co stanowi niewątpliwym dowód, że w tym czasie był cech osobny czapników w Kościanie. Późniejsze lustracje nie wspominają wcale o tym cechu, a ponieważ liczba rzemieślników powarnictwa musiała być małą, przystępowali czapnicy do cechu kuśnierskiego. Powarnictwo nieszczególne przynosiło korzyści, ztąd też mało ludzi doń się garnęło, a gdy jeszcze kuśnierze wyrabianiem czapek zajmować się zaczęli, zbyt towaru, a z nim zarobek stawał się trudniejszy. Wiadomość o kapeluszniku Jakubie w Kościanie z r. 1494 potwierdza to przypuszczenie, zaliczony on bowiem jest między dłużniki Urszuli Loyp, która w tym roku testament zrobiła.

W stolicy Wielkopolski, gdzie ludność liczniejszą była, gdzie i napływ obcych do większego odbytu się przyczyniał, walczyli czapnicy także z kuśnierzami, widząc zaś byt swój ztąd zagrożony, uprosili Radę miejską, która też nakaz wydała, że kuśnierzom tylko się dozwalało robienie czapek „dla dobrego człowieka, żony i dzieciom.” Z zachowanego statutu poznańskiego przekonujemy się też, że płaca za robotę powarniczą bardzo była szczupłą, a ponieważ ustęp odnośny statutu tego z r. 1578 w ogóle wielce tę kwestyą ilustruje, powtarzamy go za Łukaszewiczem:

„Najpierw około robienia czapek z strony towarzyszy rzemiosła czapniczego, aby 4 czapki przedniej welny robione były na taborg, a cokolwiek zrobi na taborg szeląg od jednej ma być płacono. Item krótkiej welny cztery czapki na taborg, a przez taborg od dwóch czapek pół grosza. Welny fadrowej 5 czapek na taborg od każdej 4

pieniądze. Mętlowych czapek 6 także na taborg, a od każdej kwartnik. Grubej welny 7 czapek także na taborg, a od każdej 2 pieniądze. Golek 12 na taborg, a kiedy się trafi faldrowej welny robić golke, tedy tak mają płacić, jak od faldrowej czapki i mętlowych piślanek męzkich aż do kroku dwie pary na taborg, a przez taborg grosz jeden od każdej pary: piślanek panieńskich 4 pary także na taborg, a od każdej pary szeląg. Stępianek 12 par także na taborg. Jeżeli który towarzysz nie robił w poniedziałek i niedał słusznej przyczyny, ten ma być dwoma groszy karany albo więz. Czeladnikowi, który dobrze robi, powinien mistrz za kwartałnik dać piwa do roboty, a źle robiącemu i cienkuszowi dać nie ma. Mistrzowie dwaj każdy tydzień z miechem doglądając czeladzi, aby była gruntowna i porządna robota, chodzić, a jeżeli która czapka złej będzie roboty, tedy towarzysz welnę zapłacić, chłopcu za szkodę biczem dać powinien.”

W roku 1720 Kościan nie miał wcale czapnika, to też Rada miejska, mimo, że miasto to królewskie zażywało przywileju, że w nim nie wolno było Arianom, Szkotom, ani żydom się osiedlać, rzemiosła wykonywać i kupczyć, zniewoloną była do wydania następnej uchwały.

„Pozwala się na rok jeden sposobem dzierżawy żydom z miasta Leszna nie zkadinać sprzedawać w jarmarku tylko same czapki tak męskie jak białogłowskie. Punkta zaś sławetne bractwo kuśnierskie sobie z tymi żydami leszczyńskimi waruje i excypuje.

1) Jeżeli się brat taki do miasta Kościana trafił, któryby powarnickowską robotę robić umiał, odtąd żydzi leszczyńscy ważyć się nie będą powinny jeździć z towarami swymi na jarmarku do Kościana.

2) W wigiliję jarmarków i inne dni targowe rękawic, czapek itd., któryby się żyd ważył przedawać, tedy pod przypadkiem tego towaru do bractwa pomienionego będzie karany.

3) Aby corocznie od pierwszego jarmarku to jest Narodzenia Najświętszej Panny kontraktowali się z pomienionym bractwem i nowy kontrakt z podpisami obu stron renowowali i pieczęć dla utwierdzenia na tym kontrakcie przyciśnioną odebrali.

4) Jeżeli od pomienionego bractwa na rok drugi kontraktem afektować będą, tedy przedewszystkiem, aby o konsens od sławetnego Pana Prezydenta natenczas będącego poszli.

5) Aby corocznie za konsensus ten sławetne bractwo kontentowali, to jest zło-

tych dwadzieścia i cztery według ugody terażniejszej, aby oddawali, ratę zaś pierwszą złotych dwanaście przy odbieraniu kontraktu wylczyć bez wszelkich targów powinni, to jest w samo święto Narodzenia Matki Boskiej. Drugą ratę na świąteczny jarmark złotych dwanaście.”

Kontrakt ten wykazuje, że cech kuśnierski zabierał dla siebie cały ten dochód od czapników żydowskich leszczyńskich, a dowodzi zarazem, że czapnicy kiedyś do tego cechu byli przyłączeni. Miasto nie zawarowało sobie z tych transakcji żadnych korzyści, miało je jednakże też, bo jemu przypadała opłata za miejsce, za budy, za tasze.

Cech garncarski

Bractwu zdunów potwierdził Urząd radziecki przez kilku mistrzów ułożone ustawy w r. 1582. Prócz zwykłych przepisów czytamy na pergaminowym tym dyplomie, przechowywanym obecnie w Archiwum poznańskim, jeszcze cztery artykuły szczegółowo do tego rzemiosła się odnoszące:

„Mają się tego bracia strzedz, aby jeden drugiemu gliny podle dołu, kędy bywa wykopywana, nie brał pod winą beczki piwa. Starsi mają przegłądać w targowy dzień robotę, a jeżeliby robota nie ważyła, mają pobrać i dać do szpitala. – Zakazuje się obcym wozić robotę, krom jarmarku, pod kara zabrania towaru. – Na wsie z robotą jechać wolno braci tylko 8 razy na rok.”

Cech ten istniał bez przerwy, lustracya z r. 1765 wykazuje 10 cechów w Kościanie, między nimi jest zapisany cech garncarski. Lustracya z roku 1789 wymienia także cech ten między 12 wówczas istniejącymi i podaje, że było w tym roku mistrzów dwóch.

Glinę brano z dolów zwanych glinkami, położonych po prawej stronie drogi, ku Naclawiovi prowadzącej. Akta radzieckie wykazują, że często między mistrzami powstawały zatargi przy zaopatrywaniu się w glinę. Czy miasto za tę glinę pobierało jaką opłatę, nie wykazuje się z akt, natomiast nie za darmo kopano glinę na polach do zamku należących. Lustracya starostwa kościańskiego z r. 1661 zawiera ustęp, szczegółowo tej kwestii dotyczący. Garncarz każdy za branie gliny na granicy zamkowej płacił rocznie 5 złotych, za co już wolny był od targowego. Ponieważ zaś w powyższym roku pięciu ich było, wynosił dochód starostwa od garncarzy 25 złotych.

Pieczęć cechowa zachowała się przy obli-gacyi z roku 1662...

Cech kowali i ślusarzy.

W cechu tym zachowany jest tylko jeden dokument „wilkur” z roku 1698, którym Urząd radziecki potwierdza i umacnia ustawy już od roku 1453 istniejące. Ustawy te podajemy w wier-nym odpisie...

„My przysiężni miasta kościańskiego Balthazar przeżywany Gertner, będąc tego roku burmistrzem, Joannes Kowal, Laurentius Jokiel, Stephanus Szorna, Stephanus Grofa, Joannes Janibus, Petrus Kramarz, Joannes Michałowicz, Radni panowie pomienionego miasta, dajemy jawne świadectwo tym listem opisanym przed tymi wszystkimi, którzy teraz albo na potym będą widzieli albo słyszeli przeczytanie tego listu, że przed naszą Radą zupełną siedzącą przysiężni mężowie Nicolaus Tauba, Andreas zygarmistrz, Bartholomaeus Wilkowski, Petrus Kleysmit, z wszystkiego cechu tego, przodkiem z warsztatu kowalskiego, potym warsztatu ślusarskiego. Ci to mistrzowie wyżej opisani pokornie żądali i nas społecznie wszystkich prosili, abyśmy im na ich stare obyczaje i statuta przyzwolili, z naszą wiadomością i bacznością nie przeczyli. Roku od Narodzenia Bożego ty-sięcznego czterestnego pięćdziesiątego trzeciego. Jest złożone i dane, aby im było odnowione prawo i naszymi ustmi w wszystkich sprawach potwierdzone. My też Panowie Radni i już Przysiężni mając baczność na ich społeczne żądanie, na przemożne prośby ich, na które się wszystek cech zgodził i zezwolił jed-nostajnymi słowami, aby im ten Wilkur mógł byz przelożony i potwierdzony ze zezwoleniem wszystkich mistrzów, za którym to zezwoleniem My na ich prośby odnawjamy, umacniamy, ogradzamy tym to potwierdzeniem a opisanym listem, który ten Wilkur z obyczajnością tych słów, które obszernie opisane będą, obserwować nie będzie, winować go wszystek cech braterski powinien zos-tanie i będzie na zawsze”. (cdn)

KLEMENSKOEHLER

Słowniczek

excypować – czynić wyjątek
golka – czapka dla dziewic
mętlowy – z sukna na płaszcz
piślanki – tkanina z grubej welny z sierścią, tu obuwie z piś-
pileatorum – czapnicy
stępianki – pantofelki
taborg – targ
tasze – torby
welna faldrowa – z faldami, faldzista
wilkury, wilkierze – ustawy cechów i bractw

Kur w mroku czyli relacja z I Kościańskiej Nocy Muzeów



19 maja 2012 roku kościańskie muzeum włączyło się w ogólnoeuropejski nurt Nocy Muzeów. Trend ten zapoczątkowany został w Berlinie w 1997 roku, gdy po raz pierwszy instytucje kultury otwarte zostały dla szerokiego grona zwiedzających w godzinach nocnych.

Za przykładem stolicy Niemiec podążyły i z roku na rok coraz chętniej podążają inne miasta, i placówki muzealne na całym świecie. W tym roku, po raz pierwszy do tego liczego grona przyłączyło się Muzeum Regionalne im. dr. Henryka Florkowskiego. Kościańscy muzealnicy z zadowoleniem przyjęli to, że nowy sposób upowszechniania kultury spotkał się z dużym zainteresowaniem odbiorców. Dwa majowe wydarzenia, okazjonalna wystawa z okazji święta Konstytucji 3 maja prezentująca eksponaty związane z epoką napoleońską i I Kościańska Noc Muzeów, przyciągnęły jak na warunki kościańskie tłumy zwiedzających. Dodatkowo, jeśli weźmiemy pod uwagę fakt, że mieszkańcy wybrali wizytę w muzeum, a nie zasiedli przed ekranami telewizorów i dali się pochłonać piłkarskim emocjom

podczas finału Ligi Mistrzów, to tym bardziej należy się uznanie ofercie Muzeum Regionalnego.

Oficjalne otwarcie organizatorzy zaplanowali na godzinę 20:00 jednak ekspozycję zdjęć lotniczych z terenu Ziemi Kościańskiej udostępniano już od 19:30 ponieważ znalazło się kilku odbiorców pragnących zobaczyć jeszcze przed pierwszym gwizdkiem meczu finałowego jak prezentuje się nasz region ze znacznie większej wysokości. Jest to niezbity dowód na to, że akcja wzbudziła ciekawość i zamysł organizatorów został osiągnięty.

Oprócz ekspozycji stałej, kościańscy muzealnicy przygotowali ponad pięćdziesiąt kolorowych fotografii lotniczych wykonanych przez pana Marka Kaczmarczyka z Poznania. Fotograf wykonywał sesje zdjęciowe w różnych porach roku. Na prezentowanych zdjęciach podziwiać można było nie tylko miasto Kościan ale także Czempin, Śmigiel, Krzywiń, Wonięć, Wielichowo i inne łatwiej i trudniej rozpoznawalne miejsca z naszej okolicy. Dodatkowym utrudnieniem, a właściwie zaproponowaną szanownym gościom atrakcją było to, że fotografie nie posiadały podpisów, za-

miast nich, na tę jedną noc zawisły numerki, do których odnośniki znajdowały się na wydrukowanych folderach. Organizatorzy dali w ten sposób zwiedzającym szansę na zastanowienie się, gdzie dane zdjęcie mogło zostać wykonane i sprawdzić swoją wiedzę o najbliższym regionie. Wiele osób nie dowierzało, że wysokość aż tak znacznie zmienia z łatwością rozpoznawane miejsca i obiekty.

Powszechnym zjawiskiem towarzyszącym wystawom muzealnym przygotowywanym na czas trwania Nocy Muzeów jest organizacja pokazów, inscenizacji, warsztatów i różnego rodzaju przedsięwzięć, które jeszcze bardziej uatrakcyjniają wzbogacając to święto kontaktu z kulturą i historią. Kościaniakom zaproponowano wykład dr. hab. Violetty Julkowskiej z Instytutu Historii Uniwersytetu im. Adama Mickiewicza w Poznaniu, która jako uzupełnienie i rozszerzenie wystawy fotograficznej zaprezentowała, jak ważne są zdjęcia lotnicze w warsztacie historyka i archeologa. Prelekcja przyciągnęła wielu zainteresowanych. Ratuszowa sala ślubów z trudem pomieściła wszystkich słuchaczy.

Bezspornie w nocy 19 maja kościański Ratusz opanowało Muzeum Regionalne. Od parteru po drugie piętro prezentowano zbiory i celebrowano spotkanie z antykami. W specjalnie wyciemnionej sali „Galerii 25” rozstawiono kilka podświetlonych czarnych gablot, w których na czerwonym materiale zaprezentowano wybór najcenniejszych kościańskich muzealiów. Oprócz pradziejowego, ceramicznego naczynia w kształcie ptaka i fragmentów średniowiecznego, przebogato zdobionego naczynia kamionkowego, z tak zwanej „grupy Falkego” oraz rzadkich monet. Znalazło się także miejsce na pamiątki związane z Kościańskim Bractwem Kurkowym. Gwiazda orderowa z 1400 roku, oprawiony w gwiazdę medal wysławiający tryumf króla Jana III Sobieskiego pod Wiedniem i on, we własnej postaci... „Biały kruk”, a właściwie wykonany w srebrze i pozłoczoney Kur Kościański z 1400 roku, wypożyczony z Poznańskiego Muzeum Narodowego, właśnie na I Kościańską Noc Muzeów. Siedem wieków tradycji i historii, świadek największego rozkwitu i najdotkliwszych tragedii, których doznało nasze miasto i ojczyzna, tylko w tę jedną noc powrócił do swego rodzimego miasta. Spozierał z ekspozycji kościańskiego muzeum i pozwalał się podziwiać zwiedzającym. Obecność tego najstarszego w naszym kraju klejnotu tego typu niczym magnes przyciągnęła wielu gości, dla których priorytetem było zobaczenie tego właśnie eksponatu.

I Kościańska Noc Muzeów przebiegała planowo, ostatni zwiedzający przekroczyli próg Muzeum o 23:45 zatem zainteresowanie mieszkańców Kościana trwało przez cały czas otwarcia. Organizatorów ucieszył fakt, że kościaniacy pozytywnie odpowiedzieli na zaproszenie i co szczególnie budujące, że wśród nich znalazło się wiele osób młodych, którzy z pośród różnych form aktywności wybrali właśnie tę ofertę. Wśród gości pojawiło się wiele nowych twarzy, jest to dobry sygnał zdecydowanie potwierdzający, że muzeum jest dla mieszkańców naszego miasta ważną i mimo upływającego czasu wciąż ciekawą instytucją kulturalną z interesującą ofertą.

LUKASZ URBANIAK

Jak bezpieka zniszczyła rektora (II)

3 maja 1946 roku w Krakowie doszło do antyrządowych manifestacji studenckich. Władza ludowa zareagowała przemocą, wprowadzono siły milicyjne i wojsko, strzelano do zgromadzonych - przeprowadzono liczne aresztowania. Dziesięć dni później solidarnościowa manifestacja pod hasłem „Uwolnić aresztowanych kolegów w Krakowie” odbyła się w Poznaniu. Także tam interweniowały milicja i bezpieka. Aresztowano ok. 650 studentów. W środowisku akademickim stolicy Wielkopolski zawrzało. 14 maja w południe z poznańskimi studentami spotkali się wojewoda Feliks Widy - Wirski i rektor UP prof. dr Stanisław Dąbrowski. Przybyły na nie tłumy. Wystąpienie Rektora przyjęto owacyjnie - emocje opadały, sytuacja uspokoiła się. Po tygodniu - 21 maja 1946 roku na podstawie informacji agenturalnej z obrad senatu UP poznańska bezpieka informowała Ministerstwo Bezpieczeństwa Publicznego w Warszawie: „Rektorem UP jest nowo obrany przez senat akademicki prof. Stefan Błachowski, doktor filozofii, profesor psychologii i pedagogiki eksperymentalnej, dyrektor Zakładu Psychologicznego, delegat do Senatu w roku 1926/27, dziekan w latach 1934/5; 1935/6 i 1936/7; prorektor w latach 1938/9 i 1945, obecnie rektor. Zapatrywał sanacyjnych - umiarkowany, zamieszkały w domu profesorskim ul. Libelta 14 (...)”.

„Złośliwe” ulotki

1 czerwca 1946 roku w raporcie dekadowym Sekcji IV Wojewódzkiego Urzędu Bezpieczeństwa Publicznego w Poznaniu, skierowanym do Departamentu V Wydział IV Ministerstwa Bezpieczeństwa Publicznego w Warszawie, nie ma już mowy o profesorze Dąbrowskim. Za to można się z niego dowiedzieć, że:

„(...) Na Uniwersytecie Poznańskim wydano wykonaną na powielaczu ulotkę, która w bardzo złośliwy sposób streszcza całą demonstrację studentów w dniu 13 maja 1946r. Tendencyjna treść wyżej wspomnianej ulotki skierowana jest przeciw Urzędowi Bezpieczeństwa. Wywieśnienie ulotki odbywa się w ostatnim czasie dość często, co świadczy o tym, że na terenie Uniwersytetu Poznańskiego działa pewna grupa ludzi o wrogim nastawieniu. Dlatego, aby uzyskać pewne dane całą naszą agenturę nastawiliśmy na wykrycie tej organizacji. W tej chwili mamy obsadzone [przez agenturę - dop. J.Z.] wszystkie legalne organizacje młodzieżowe, działające na terenie Uniwersytetu Poznańskiego. Zadaniem agentury jest uczęszczanie na zebrania oraz podawanie składu zarzą-

dów, ich działalności i przynależności partyjnej, jak również pochodzenie socjalne najbardziej aktywnych członków(...)”.

Swoistym plonem masowych aresztowań studentów poznańskich był... wzrost liczby agentów w środowisku młodzieży akademickiej. Z około 650 zatrzymanych - bezpiece udało się pozyskać do współpracy 22 osoby. Aresztowano, straszono, a kiedy zastraszone kazano podpisać deklaracje o współpracy i wypuszczano. W terminologii UB określano to tak: „(...) Po dokładnym rozpatrzeniu i sprawdzeniu, osobnika zawerbowano i zwolniono(...)”. Gwoli prawdy godzi się dodać, że w miarę upływu czasu wielu tak pozyskanych donosicieli zerwało kontakty z bezpieką, a niektórzy podjęli działalność podziemną, za co zapłacili więzieniem. Akcją antystudencką kierował wtedy 25-letni porucznik WUBP w Poznaniu Henryk Sokolak.

Za jednym z głównych organizatorów manifestacji 13 maja uznano studenta Wydziału Leśnego UP Jana Dieringa - Podhorskiego, który przepadł jak kamień w wodzie. Dla jego ujęcia urucho-

miono policję polityczną w całym kraju.

Z raportu UB z 1 czerwca:

„Jeden z głównych prowokatorów demonstracji studenckiej w dniu 13 maja br. student Wydziału Leśnego Jan Diering - Podhorski w dalszym ciągu ukrywa się. Zastosowany wywiad, a później obserwacja, ustaliły kontakty jego ze studentami Akademii Handlowej. Gdyby doniesienia agentury potwierdziły wynik obserwacji i wywiadu - rozpoczniemy rozpracowanie. W poszukiwaniu dalszych prowokatorów demonstracji ustalono: 1. Kanz (Kauc?) Jerzy - student I roku WF; 2. Piętkówna Helena - I rok matematyczno - przyrodniczy; 3. Robak Czesław - student UP; 4. Pachura Mieczysław - student Wydziału Prawnego; 5. Rypiński Zygmunt - student; 6. Barkiewicz Magdalena - studentka Akademii Handlowej. Na wszystkich przeprowadzono wywiady i zbierano materiały obciążające(...)”.

„Sosna” donosi

11 czerwca 1946 roku por. UB Henryk Sokolak skierował z Poznania kolejny raport do Ministerstwa Bezpieczeństwa Publicznego w Warszawie. Opisywał w nim wszystko to, co zdarzyło się od 1 do 10 czerwca. W siedzi-

bie Bratniej Pomocy Studentów - to jest w tzw. uniwersyteckim bratniaku - pojawiły się ulotki, wzywające do koleżeń- skiej solidarności ze studentami, którzy nie zostali jeszcze zwolnieni z aresztu. Emocje opadały - trwała sesja egzaminacyjna, która miała się oficjalnie zakończyć z końcem lipca. Jan Diering - Podhorski nadal ukrywał się i miejsca jego pobytu nie udawało się ustalić. Informator UB o pseudonimie „Sosna” doniósł, że na Wydziale Leśnym Uniwersytetu Poznańskiego działa „zamknięta w sobie” 10-osobowa grupa, utrzymująca kontakty z Podhorskim. I to - jak się niebawem okaże - był dobry trop.

Z doniesienia „Sosny”: *„(...) Grupa ta stale trzyma się z dala od reszty; są to w większości synowie byłych obszarników, choćdą pięknie ubrani i mają dużo pieniędzy(...)”. Następnie „Sosna” poinformowała, że na Solaczu, gdzie mieściła się siedziba „leśników”, trzy studentki rolnictwa - Irena Grzesiak (I rok studiów), Ludomira Jeske (I rok) i Rutkowska (II rok) - „uprawiają propagandę”.*

Dość szybko udało się ustalić, że między ośrodkami akademickimi w kraju kursowali emisariusze, którzy przynosili prawdziwe wiadomości. Poznańska bezpieka doszła do wniosku, że jednym z takich łączników była studentka pierw-

szego roku medycyny Barbara Tarnowska (zamieszkała Poznań, ul. Niegolewskich 20), która 3 maja 1946 roku uczestniczyła w manifestacji w Krakowie. „Sosna” zaś dowiedziała się, że trzej studenci leśnictwa i studentka medycyny brali udział w demonstracji akademickiej we Włocławku i mają kontakt z tamtejszym środowiskiem akademickim.

Fotografie i donosy

Raport dekadowy z 22 czerwca 1946 roku podpisywał już jako naczelnik Wydziału V WUBP w Poznaniu por. UB Józef Dziemidok. Trwało rozpracowanie środowiska studenckiego. Na fotografiach z 13 maja rozpoznano i teraz dopiero aresztowano studentów: II roku medycyny - Witolda Zajacę i I roku Akademii Handlowej - Ryszarda Błaszkiwicza. Agentura doniosła, że wrogiem ustroju jest student wychowania fizycznego Jerzy Kauc. W raporcie napisano:

„(...) Na Wydziale WF Uniwersytetu Poznańskiego znajduje się student Kauc Jerzy, który według doniesień agentury namawiał do strajku i demonstracji akademickiej. Przeprowadzany wywiad stwierdził, że Kauc Jerzy z początku roku akademickiego uczęszczał na wykłady w mundurze podporucznika. Jest bardzo lubiany wśród kolegów i wywiera wielki wpływ na otoczenie. Ostatnio śpiewał piosenkę o Andersie,



Jako rektor z prymasem Augustem Hlondem.

Fot. ze zbiorów córki rektora red. Jadwigi Dąbrowskiej z Paryża

treści wybitnie antyrządowej, ku zadowoleniu słuchających go studentów; postanowiono Kauc Jerzego wziąć pod obserwację i rozpracować(...)”.

Aresztowano Barbarę Tarnowską i Alojzego Szargawka - studentów Akademii Medycznej, bo inny informator ps. „Ryszard” doniósł, że „(...) byli świadkami zajęć krakowskich i twierdzili, że pierwsze strzały padły w ich stronę z gmachu PPR (...)”. W śledztwie postawiono im zarzut, że byli organizatorami manifestacji poznańskiej.

Krakowska bezpieka z kolei zleciła poznańskiej obserwację podejrzaną uczennicy, więc „na polecenie WUBP Kraków Wydz. V przeprowadzono rewizję w mieszkaniu uczennicy Zofii Rogowskiej zamieszkałej przy Alejach Przybyszewskiego 19 i znaleziono dwa lity treści wybitnie antyrządowej; nadawcą była Halina Wedówna - harcerka, uczennica gimnazjum w Krakowie, córka byłego majora Wojska Polskiego, która jak wynika z listu brała czynny udział w zajęciach krakowskich; listy wysłano do WUBP Kraków Wydz. V do wykorzystania (...)”.

Przyjazd premiera

Profesor Stefan Dąbrowski martwił się bardzo. Kolejne próby odwołania go z funkcji rektora Uniwersytetu Poznańskiego znosił z trudem. Był poważnie chory - dawały o sobie znać zaburzenia układu krążenia. Zamiar usunięcia go ze stanowiska i z uczelni nie powiódł się, bo miał jeszcze wpływowych przyjaciół z lat przedwojennych. Tak więc - mimo zabiegów bezpieki - i wbrew doniesieniu jednego z agentów - nadal tkwił na posterunku, choć zdrowie wyraźnie go opuszczało. Funkcjonariusze UB wiedzieli, że „ma słabe serce”. Niszczono go więc perfidnie, po kawaleczku - szantażowano, nachodzono, wzywano i zastraszano. Niewątpliwie broił go wojewoda poznański dr Feliks Widy - Wirski.

Zbliżało się referendum ludowe, wyznaczone na 30 czerwca 1946 roku, a ze Wielkopolska była ostoją narodowców i mikołajczykowskiego PSL, to do Poznania 23 czerwca przybył osobiście premier Tymczasowego Rządu Jedności Narodowej Edward Osóbka Morawski. Nie było dziełem przypadku, że w czasie tej „gospodarskiej wizyty” spotkał się z profesorami wyższych uczelni, ze studentami i z harcerzami (cdn).

JERZY ZIELONKA



Syn Jan (siedzi pierwszy od lewej), córka Jolenta (trzecia od lewej).

Fot. Bogdan Ludowicz

Pierwsza taka ławeczka

Ponad 350 osób uczestniczyło w tradycyjnym festynie „Powitanie Lata”, zorganizowanym 16 VI 2012r. przez Zespół Szkół Ponadpodstawowych nr 4 w Kościanie. Wchodzące w skład zespołu: szkoła podstawowa i gimnazjum noszą imię żołnierza Polskiego Państwa Podziemnego, więźnia niemieckich obozów koncentracyjnych, wybitnego regionalisty, honorowego obywatela miasta Kościana - Mariana Koszewskiego. Uczniowie pod kierunkiem pedagogów przygotowali program artystyczny, przeprowadzono turniej wiedzy o szkole, zawody w piłce nożnej plażowej; czynna była kawiarenka „pod chmurką”.

- Nie zapomnieliśmy też o naszym patronie, odsłoniłiśmy ławeczkę z rzeźbą Mariana Koszewskiego. Pan Marian zasłużył na szacunek i pamięć. Był człowiekiem zaprzyjaźnionym z naszą szkołą, uczęszczały do niej jego dzieci, przewodniczył komitetowi rodzicielskiemu, mieszkał bardzo blisko, był na każde wezwanie, kiedy trzeba było spotkać się z uczniami. Mądry, życzliwy i wyrozumiały; uczniowie bardzo Go lubili - mówi pomysłodawca dyrektor zespołu Leszek Michalczak.

Syn patrona mgr inż. Jan Koszewski z Kościana był wzruszony.

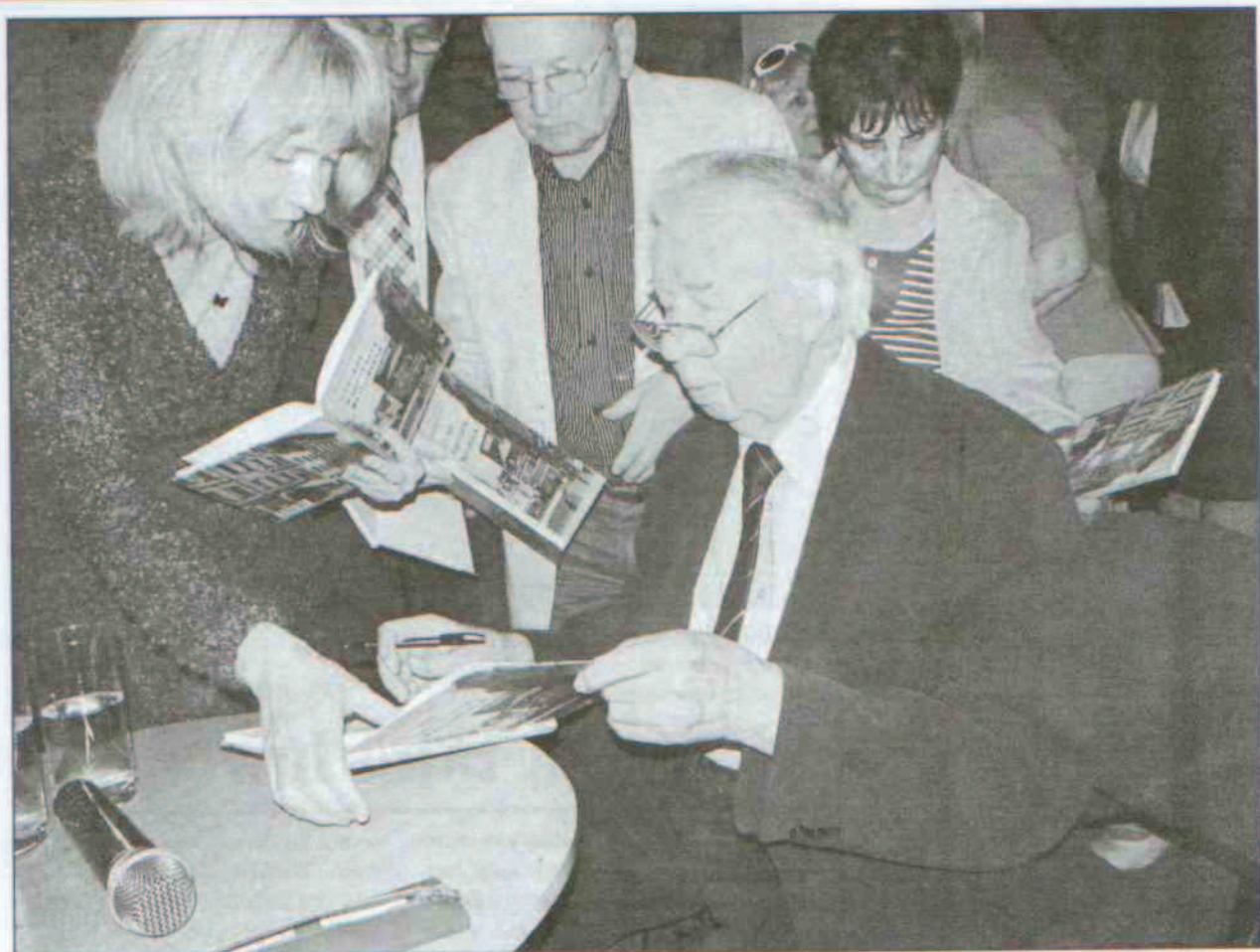
- Tato był człowiekiem skromnym, starał się pomagać wszystkim, którzy o tę

pomoc się do niego zwrócili. Widział i słyszał Polaków, których wyprowadzano z celi śmierci w Poznaniu, widział i słuchał umierających więźniów gestapo i niemieckich obozów koncentracyjnych. - Nie zapomnijcie, pamiętajcie o nas - mówili. I te ich słowa wielokrotnie powtarzał, a w praktyce życiowej pamiętał o tych, którzy odeszli na Wieczną Wartę i o ich rodzinach.

Ławeczki wybitnych postaci istnieją w większych miastach w kraju i zagranicą. W Kościanie to pierwsza tego rodzaju inicjatywa. Rzeźbę - po konsultacjach z przyjaciółmi patrona i dyrekcją zespołu - wykonał artysta plastyk Marek Zielonka. W jej odsłonięciu uczestniczyli m.in. wicestarosta kościański - Edward Strzymiński, przewodniczący Rady Miejskiej w Kościanie - Piotr Ruszkiewicz, burmistrz Kościana - Michał Jurga, redaktor naczelny „Wiadomości Kościańskich” - Jerzy Wizerkaniuk oraz przedstawiciele rodziny patrona córka Jolenta i syn Jan.

Dodać wypada, że śp. Marian Koszewski jest m.in. laureatem Nagrody „WK” za realizację i jedynym kościańskim uhonorowanym w Lesznie Medalem „Za Serce dla Kultury Leszczyńskiej”, przyznawanym przez Leszczyńskie Towarzystwo Kulturalne.

KATARZYNA ŻUREK



Poeta długo podpisywał książki licznie przybyłym czytelnikom.

Fot. Teresa Masłowska

Ulice Eugeniusza Wachowiaka

Czytelnicy, przyjaciele z podwórka, rodzina - licznie przybyli na spotkanie z poetą, wybitnym tłumaczem niemieckojęzycznym Eugeniuszem Wachowiakiem i z autorką książki „Ulicami Eugeniusza Wachowiaka” Małgorzatą Halec*). Spotkanie odbyło się 20 czerwca 2012 r. w „Galerii Lochy” Miejskiej Biblioteki Publicznej w Lesznie. Promocję poprowadził syn poety Sergiusz Sterna-Wachowiak poeta, tłumacz, eseista, krytyk literacki.

- Świątujemy dzisiaj ukazanie się trzeciej książki opowieści o ulicach leszczyńskich autorstwa Małgorzaty Halec. Punktem wyjścia nie jest w niej ulica, fizyczne Leszno, rzeczywistość tego miejsca, tylko dzieło sztuki, poezja, proza i związki, jakie łączą dziedziny twórczości z

tym miejscem. W Polsce na nowo sposobem opowiadania jest wyjście od sztuki związanej z miejscem i przejście do realiów, do tego, co w mieście na jego ulicach jest teraz, a co było w - niekiedy bardzo dawnej - przeszłości. Ewolucję ulicy pokazują pocztówki robione w różnym czasie, na których

to samo miejsce jest niepodobne. Porównywalny sposób opisywania znam tylko z Gdańska, a więc Gdańsk Günтера Grassa, Pawła Huellego i Stefana Chwina - zagaił Sterna-Wachowiak.

Publikacja „Ulicami Eugeniusza Wachowiaka”, obejmująca okres od urodzenia poety 24 grudnia 1929 r. do momentu wyjazdu do Wschowy w 1961 r., jest trzecią książką Małgorzaty Halec z cyklu ulicami znanych leszczyńców. Autorka zapytana, skąd wzięła się pomysł wędrowek ulicami znanych postaci, odpowiedziała:

- Od początku myślałam o tym, żeby

to były książki o ludziach obecnie lub niedawno żyjących w Lesznie. Chciałam pokazać, że tu byli ludzie, o których warto wiedzieć właśnie w kontekście ulicy, na której żyli, mieszkali i tworzyli. Najdawniejszej inspiracji musiałabym szukać we wspomnieniach z dzieciństwa i ulicy obok domu, która była dla mnie najbliższym światem. Ruch na ulicy, koledzy, zapadający zmrok z latającymi nietoperzami, kałuże po burzy, których ubywało, bo kładziono asfalt, chodniki. Pewien romantyzm, magia ulicy w powiązaniu z przeświadczeniem, że postaci z Leszna warte są tego, żeby o nich pisać. Żebyśmy my leszczyńscy wiedzieli, że oni kiedyś tymi samymi ulicami się poruszali. Zachęcał mnie, pomagał Zdzisław Adamczak (wiceprezydent Leszna zmarły w 2010 r. – dop. red.). Kiedy powstała pierwsza książka pytał o następną. Drugą jeszcze miał w ręku...

W opowieści o Eugeniuszu Wachowiaku poszczególne rozdziały stanowią ulice ważne dla poety przeplatane fragmentami jego twórczości; wierszami i opowiadaniem. Choć autorka w Lesznie mieszka od wielu lat, pracując nad książką, znalazła nieznaną jej miejsc.

– Najważniejszą ulicą Eugeniusza Wachowiaka pozostaje Święciechowska na Zatorzu. Zwykle mijalam ją szybko, zajęła mnie dopiero, kiedy pisałam o Grochowiaku. Zresztą obaj poeci mieszkali „przez płot”. Święciechowska to był „Akwawit”, odkryciem okazała się fabryka cukierków, bo fabryka słodczy była dla mnie Goplana. Pomimo przemysłu, była to ulica willowa, z aylem od ruchu, tętniącego na Słowiańskiej czy na Rynku. Dowiedziałam się, że dęby w ogrodzie, które tak fascynowały poetę, później posłużyły na ławki do kościoła św. Mikołaja. Urzekła mnie magia ulicy Wąskiej, której końce są tak odmienne. Stojąc z jednej strony spogląda się na farę, z drugiej jest ruch, a dalej już pluszcze fontanna i stoją kamieniczki. To prawda, że odkryłam trochę inne Leszno, niż to którym biegniemy codziennie...

A potem popłynęły opowieści z dziecięcych i szkolnych lat, które autorka przywołała pisząc o zabawach na „kozim rynku”; toczeniu kół od roweru, kręceniu drewnianych bączków, grze w palanta. Maria Cierkosz, uro-

dzona na Święciechowskiej 7 nad sklepem Wandy i Józefa Walkowiaków, wzruszona mówiła:

– Serdecznie dziękuję za napisanie o mojej ulicy, bo jest mi najmiłsza na świecie. Z bratem przeczytaliśmy tę książkę jednym tchem. Przenieśliśmy się w czasie na „kozy rynek”, kiedy biegaliśmy za cygańskimi taborami, co było jedyną atrakcją tej ulicy, przypomnieliśmy sobie jak idąc do miasta przyglądaliśmy się wielkiemu lisowi, który był na garbarni pana Hermana. Do szewca Wrześnińskiego chodziło się z butami do naprawy, a z jego córką chodziłam do szkoły. Miałam serdeczne koleżanki, obok mnie siedzi Mirka Sierpowska-Kowolka, która była w naszej „bandzie” ze Święciechowskiej. Bardzo dziękuję także za fragment poświęcony profesor Baranowskiej. Jej córka Barbara wzruszyła się czytając o matce, potwierdziła też, że u Kubiaków naprawdę straszyciło...

Eugeniusz Wachowiak nawiązując do wypowiedzi Marii Cierkosz opowiadał:

– Pani profesor Baranowskiej wiele zawdzięczam. Zapraszała nas do domu Kubiaków pod filarami, gdzie mieszkała z córeczką, wspomnianą Basią, która przysięgała, że w tym domu straszyci. Pani profesor szczerze uwielbiałyśmy. Miała trzydzieści kilka lat, była bardzo skromna, zawsze szybko chodziła do szkoły. Dla nas „pachniała prochem”, bo była uczestniczką powstania warszawskiego. Pani profesor zapraszała także Jankę Hetmańską, moją przyszłą żonę. Uważała, że ona pięknie recytuje i namawiała ją na szkołę teatralną, ale wtedy byłaby dla mnie już stracona... Przed wojną był szewc Kasperski, bawiłem się z jego córkami. Po wojnie pojawił się szewc Wrześniński, który nauczył się pić stąd, że robił buty żołnierzom sowieckim. Oni płacili za nie spirytusem...

Głos zabrała Aleksandra Kowalewska, która poczuła się wywołana, ponieważ padło nazwisko jej męża, który w leszczyńskiej wagonowni przyjmował od przyszłego poety przysięgę harcerczą:

– W wagonowni w 1946 r. urodziła się moja córka, dwa lata później syn. W 1951 r. otrzymaliśmy mieszkanie na Zaciszu, naprzeciwko była łąka i dwa wiatraki. Z „koziego rynku” na łąkę przychodził człowiek paść kozy. Mój

synek miał 3,5 roku i strasznie do tych kóz chciał. Pasał je i to było jego pierwsze zajęcie...

Przed „Ulicami Eugeniusza Wachowiaka” – w 2006 r. ukazała się książka „Spacer po Lesznie Grochowiaka”, w 2010 r. „Z Romanem Maciejewskim w Lesznie i okolicy”. Autorka planuje już następne publikacje.

– Są takie postaci, które darzę estymą i chciałabym o nich napisać. To są ludzie XX wieku, których mogliście państwo znać. Na przykład doktora Bronisława Świderskiego, człowieka niezastąpionego, jeśli chodzi o dzieje Leszna dwudziestolecia międzywojennego. Jest wiele miejsc z nim związanych, nie tylko w Lesznie, także pobliska Osieczna – Stanisławówka. Był nowoczesnym lekarzem stosującym wodolecznictwo, twórcą zwierzyńca. Warto byłoby przypomnieć postać Mieczysława Kudelli, plastyka, który pozostaje w pamięci mieszkańców Leszna. W niektórych domach wiszą jego obrazy, może wasze dzieci pobierały u niego lekcje rysunku. Chciałabym nadal pisać o Lesznie, w którym nie urodziłam się, ale które z czasem stało się moim miastem, i w którym mam swoje magiczne miejsca...

W trakcie spotkania mówiono głównie o ulicy poetów Święciechowskiej, ale leszczyńskich ulic poety Wachowiaka jest w książce więcej. Są okolice dworca kolejowego, dokąd ogrodnik kolejowy ojciec Franciszek Wachowiak, zabierał czasem syna, gdzie po wojnie jego matka Kazimiera pracowała w dworcowej placówce Polskiego Czerwonego Krzyża. Jest Słowiańska i gmach poczty, w której poeta pracował w czasie okupacji, jest Plac Jana Metziga z jego szkołą powszechną, są Kościelna, Chrobrego, Niepodległości, Rynek i wiele innych ważnych miejsc. Kto nabrał ochoty na dalszą wędrówkę leszczyńskimi śladami poety powinien sięgnąć po książkę.

TERESA MASŁOWSKA

*) Janina Małgorzata Halec, Ulicami Eugeniusza Wachowiaka, Leszno 2012.

Poezja Eugeniusza Wachowiaka

I.

Wstaję po to by zamknąć drzwi
leżę aby odpocząć
A między tymi czynnościami
jest gama innych
które znacie
z odruchów waszych
z przekonania
Raz zapuszczone
wciąż się kręci
raz odżegnane odżegnawa
w bajkach dla dzieci
na cześć króla
Brak mi heroldów
brak i błazna
a przede wszystkim
brak drużyny
Mogę przyłbicę
zrzucić z czoła
i poprzez pola różnych bitew
przejść bosą nogą
w chłodzie zboża
27.06.1964

10.

Najlepsze są filmy nieme
W epoce powszechnego
gadulstwa
najlepsze są więc filmy nieme
co zawsze bywa u ryb
Siadając do obiadu
miewam przed sobą rybę
niemy film
ze wzburzonego Bałtyku
albo i z innych mórz
Zmagań w niej było wiele
Najgorsze to ostatnie
w sieci
a potem to
ze solą w beczce
7.6.1964

18.

Fruwanie
łączy się zawsze z emocją
podobnie jak start samolotu
z debiutantem
Wszystko to razem wzięte
pod stress życia
jest rozpuszczonym w gorze
żywołem
Ludzie stąd wyglądają
jak kredki
Nabierają kolorów z emocji
lub z racji koszul wzorzystych
na grzbiecie
Ludzie stąd wyglądają
jak kreski
statków na ekranie
radaru
Żadnej rady jednak na to
nie ma
9.6.1964

EUGENIUSZ WACHOWIAK

*) Wiersze pochodzą z tomiku „Korniki dnia: wiersze wschowskie A.D. 1964”, Poznań 2009.

Kościan znalazł obiektywy

Anna Ryl i Zbigniew Warczok, to dobrzy znajomi z kościańskiej „Jedynki”. Po latach spotkali się ponownie w Kościańskim Ośrodku Kultury przy projekcie „Kościan sz(t)uka obiektywu”. Wiele się od siebie nauczyli, fotografując kulturalne życie miasta.

- Przechodziłam koło KOK-u i zobaczyłam afisz o spotkaniu. Prowadzili je Janusz Dodot oraz Piotr Pawlicki. Spodobała mi się idea pokazania naszego miasta na tle różnych wydarzeń kulturalnych organizowanych nie tylko przez dom kultury. Nie chodziło o profesjonalne podejście, tylko o różne spojrzenie na to samo wydarzenie, przetworzenie tego co się widzi przez własne emocje i odczucia i utrwalenie na fotografii. Zgłosiło się osiem osób, m.in. Zbigniew Warczok, który oferował pomoc, tym którzy mieli problemy techniczne przy robieniu zdjęć. Skwapliwie z tego skorzystałam – opowiada Anna Ryl.

Od rozpoczęcia projektu mija rok. Ania i Zbyszek są najbardziej aktywni i zaangażowani, najbardziej widoczni na kościańskich imprezach. Wiele się od siebie nauczyli. On jest dla niej niekwestionowanym mistrzem w kwestiach technicznych.

- W KOK-u robimy zdjęcia. Dla zbudowania odpowiedniego nastroju scenę spowija mrok, nie chcę psuć klimatu używając lampy. Coś szwankuje i nie działa, wtedy uderzam do Zbyszka: - Ratuj! Coś pomajstruje, poprzedstawia i zdjęcia wychodzą.

Ania nauczyła kolegę innego spojrzenia na ludzi, zwracania uwagi na ich emocje.

- Ma interesujące spojrzenie na ludzi, wydarzenia. Dzięki niej widzę fotografowane obiekty z innej perspektywy.

Jaś i Małgosia

Realizacja wspólnego przedsięwzięcia jest dla nich wielką przygodą. Dorzucają kolejne plusy: satysfakcję, możliwość rozwoju i radość płynącą z tworzenia.

- Dzięki temu projektowi realizuję ma-

gosi, które okazało się świetnym spektaklem. Kiedyś zaliczałem dni Kościana, sporadycznie koncert rockowy. Ostatnio byłem zachwycony koncertem muzyki barokowej w farze.

Projekt „Kościan sz(t)uka obiektywu” wciąż jeszcze trwa. Anna i Zbigniew są najaktywniejszymi uczestnikami. Na zakończenie przedsięwzięcia zostanie wydany album fotograficzny. Jak dotąd, oboje mają zapewnioną publikację swoich zdjęć.



Anna Ryl w obiektywie Zbigniewa Warczoka

rzienia. Robię, to co kocham. Jestem szczęśliwa. Zbyszek dodaje: - Widzę, jak dużo dzieje się w naszym mieście. Wcześniej wydawało mi się, że Kościan jest nudnym miastem. To nieprawda. Jest tyle ciekawych przedstawień, koncertów, spektakli. Dzięki projektowi chodzę na różne imprezy, na które normalnie bym nie poszedł, np. przedstawienie o Jasiu i Mał-

Smykałkę do fotografowania przejawiali odkąd pamiętają. Fascynacja fotografią rozwijała się i stała się ich największą pasją.

- W domu od najmłodszych lat byłam nadwornym fotografem. Robiłam zdjęcia z okazji spotkań, uroczystości, takie rodzinne pamiątki. Kiedy widziałam fotografa z pro-

Profesjonalnym sprzętem, coś mi mówiło, że to jest to, co ja także chcę robić.

Coraz lepiej fotografowała, inwestowała w bardziej profesjonalny sprzęt. Pierwszym jej aparatem był Ami 66, polski aparat fotograficzny, który robił furorę w PRL. Dzisiaj posiada profesjonalny sprzęt.

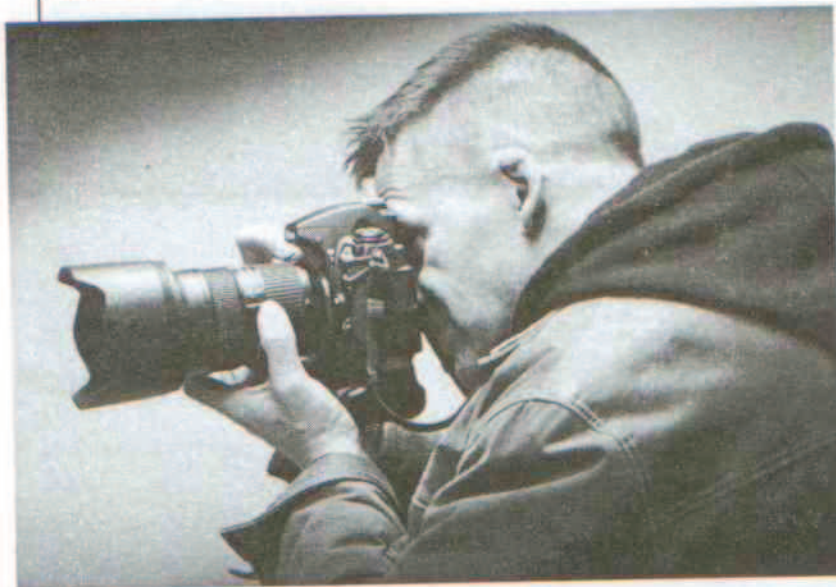
W domu Zbigniewa Warczoka robienie zdjęć jest rodzinną tradycją. Już przed wojną fotografią zajmował się jego dziadek, który poza tym miał wiele zainteresowań.

- Był nauczycielem, uzdolnionym technicznie hobbystą; zbudował radio, nawet buty potrafił zrobić, fotografował. Retusze sam robił pędzelkami, taki przedwojenny photo shop – śmieje się fotograf. – Wiele nauczyłem się od dziadka. Często pokazywał mi tabele naświetleń, nietypowe aparaty. Podarował mi pierwszy aparat na kliszę, który przechowuję do dzisiaj niczym relikwię. Później miałem Ami 66, Smięną, lustrzankę analogową Zenit. Potem pierwszą cyfrowką Canon, teraz używam Nikona. Jak pamiętam, aparat miałem od zawsze.

codziennego życia przez pryzmat obiektywu.

- Idąc ulicą spostrzegam człowieka i zaraz zastanawiam się, jak by wyglądał na zdjęciu. Jak i gdzie można by go ustawić, jak ubrać – mówi Zbigniew Warczok. Dla Anny Ryl najciekawsza jest możliwość uchwycenia chwili. - Tego niepowtarzalnego momentu, który można potem zobaczyć na zdjęciu. Uwieczniona chwila z życia człowieka, pamiątka. Największą satysfakcją jest dla niej radość i zadowolenie drugiego człowieka. Dla mnie fotografowanie ludzi jest wyjątkowe. Zarówno to spontaniczne jak i studyjne. W ramach cyklu PKS 2010 zrobiłam zdjęcie sąsiadki, która sprzedaje chleb. Scenka rodzajowa z życia codziennego, którą bardzo lubię.

Oboje mają za sobą pracę studyjną. Sesję z udziałem modelki także uważają za inspirującą, bo wymaga ogromnej pracy, skupienia, przygotowań. Należy przecież stworzyć scenariusz, dopracować szczegóły. Bardzo się napracowaliśmy, a największą satysfakcją było zadowolenie modelki - przekonuje Zbigniew Warczok.



Zbigniew Warczok w obiektywie Anny Ryl

Sąsiadka sprzedaje chleb

Fotografia umożliwia szczególnie kontakt z drugim człowiekiem. Przenika niemal każdą chwilę życia. Kiedy ma się duszę fotografa, trudno wyłączyć ten charakterystyczny sposób myślenia i widzenia świata. Ta pasja uczy obserwowania rzeczywistości z innej perspektywy, jest ciągłym postrzeganiem

Bo moja ulica jest w sercu miasta

Inspiracje czerpią z różnych źródeł, czytając literaturę, przeglądając strony internetowe, czerpiąc z doświadczeń autorzy. Ale koniec końców, to własne pomysły i kreatywność przynoszą najlepsze efekty. Natchnieniem może być drobiazg: aleja

z drzewami owocowymi, nadpróżniały most, ambona ukryta w lesie, pochylona brzoza. Mają swoje ulubione i sprawdzone miejsca; nie brak ich w Kościanie i okolicy. Sprawdzili je i obejdzili wiele razy. Czasem zwykle miejsce, ale z wyjątkową atmosferą skutkuje wykonaniem niepowtarzalnego, ulubionego zdjęcia.

- Moje ulubione zdjęcie zrobiłam kilkadziesiąt kilometrów za Kościanem. Zwykła droga asfaltowa, przy niej jezioro, nad którym stała ławeczka. Było w tym miejscu coś magicznego. Późny listopad, mżyło, robiło się już szaro. Wtedy poczułam wyjątkowy romantyczno-melancholijny nastrój. Zatrzymałam się i zrobiłam zdjęcie. Wróciłam tam, aby zrobić zdjęcie w promieniach słońca. Jednak to pierwsze jest niepowtarzalne, nie do podrobienia.

W Kościanie jest wiele ciekawych zakątków, których zwykle się nie zauważa. Dla Zbigniewa to okolice kościoła farnego, ulice Wodna i Garbarska.

- Poobijane mury, podniszczone budynki, dziwne bramy z mrocznym klimatem, który bardzo mi odpowiada. Kiedyś fotografowałem nowożeńców. Kilka ujęć pochodziło stamtąd - efekt był niesamowity. Te kilka zdjęć, które zrobiłem w podejrzanych zaułkach, było najbardziej interesującymi z całej sesji - wspomina Zbigniew Warczok.

Zlecenie na Alasce

Fotografia to ich pasja. Na chleb zarabiają pracując w innych dziedzinach. Ciągłe jednak znajdują czas, aby rozwijać i realizować swoją pasję.

- Zwariowane życie. Mam dom, męża, syna i pracę. Nie jest łatwo, ale jakoś wszystko godzę. Mąż mnie bardzo wspiera. Fotografowanie sprawia mi dużo radości - stwierdza Anna. Zbyszek dodaje: -Pracowicie, ale przyjemnie spędzamy czas. Fajnie byłoby z tego żyć. Do tego dążymy.

Po zakończeniu projektu planują nadal wspólnie działać. Marzą o otwarciu własnego studia, chcą profesjonalnie zająć się fotografią. - Chcemy podbić świat. Nie boimy się wyzwania - zapewnia Ania. Jeśli otrzymamy zlecenie na końcu świata, choćby na Alasce, z chęcią podejmiemy się zadania - dodaje Zbyszek.

KATARZYNA ŻUREK

*) Sprostowanie. W poprzednim numerze „WK” 1-4 (237-240), s. 31 błędnie podpisano zdjęcie Janusza Dodota. Autorką fotografii jest Anna Ryl. Przepraszamy. (red.)

Jakże o mamie snuć wspomnienia?

1.

Jerzy – pan redaktor Jerzy Zielonka – kazał mi napisać wspomnienie o mamie. Póki jej odejście stale boli. Kazał mi napisać tak, jakby poddawać się zabiegowi. Bez znieczulenia. Tak przynajmniej Jerzego rozumiałem. I co? Że byłem maminsynkiem? Tak. Byłem maminsynkiem. Obecność mamy była mi potrzebna jak powietrze. Jeśli jej nie było w domu, trwałem w oczekiwaniu jej powrotu. Jeśli ja byłem poza domem bez mamy, cieszyłem się, że za niedługo będę w domu z mamą.

Mama łatwo nie miała. Praca z ojcem w malutkim sklepie w Kościanie przy Rynku 10. Oczywiście także gotowanie, pranie, sprzątanie i opieka nad Janą (moją siostrą) i mną. Jana sobie radziła. Usamodzieliła się szybko. Mnie zależało umiarkowanie.

W latach sześćdziesiątych malutki sklepik w małym domku został zlikwidowany, a mama i ojciec otrzymali pracę w kościańskim Miejskim Handlu Detalicznym. Okoliczności były złożone. Janie i mnie było wiadomo, że jest dużo zmartwień, że brakuje pieniędzy i że najlepiej byłoby, żebyśmy starali się być jak najgrzeczniejsi. Kiedy tylko się dało, pałętałem się za mamą. Przeszkadzałem. Ale czułość uzyskiwałem. Zawsze kiedy była mi potrzebna.

W Miejskim Handlu Detalicznym mama pracowała w księgowości. Tak się mówiło. Że pracuje w księgowości, a nie że była księgową. Dlaczego? A skąd mam wiedzieć? Biura kościańskiego MHD mieściły się w ratuszu na drugim piętrze. Istniały dziesiątki powodów, dla których przed godziną piętnastą, czyli przed zakończeniem dnia pracy, koniecznie trzeba było się z mamą zobaczyć. Jak to było

widziane przez jej szefostwo, mniej więcej mogłem się domyślać. Ale po co? Koniecznie musiałem się z mamą spotkać, więc się spotykałem.

Tak się działo, że ośmiogodzinny czas pracy nie wystarczył i mama wracała do domu ze stertą różnych papierów (chyba nielegalnie?) wymagających jeszcze udokumentowaną. Bywało, że przy stole nad nimi przysypiała. Ani dla ojca, ani dla Jany, ani dla mnie to nie były chwile pełne szczęścia.

2.

Dorastaliśmy. Jana trochę prędejkę, ja trochę później. Ale czytanie polubiłem dość wcześnie. Chyba zauważyłem, że kiedy Jana zaczęła chodzić do szkoły z tego czytania ma dużą frajdę, więc też chciałem mieć. Przykład jednak szedł od mamy. Czasu dla siebie miała tyle, co kot napłakał. I wtedy książka. Beletrystyka. Na dobranoc. W niedziele i święta trochę dłużej. Że rzeczywistość książkowa przynosiła mamie wytchnienie, odczucie przyjemności, że tęskniła do tych chwileczek pobycia w innych światach, rozumiałem nie tak znowu późno.

I nie to, że mama i ojciec nie rwali się do kupowania telewizora (cena!), że radiosłuchanie wymagało jednak spełnienia pewnych warunków: ile prac domowych, księgowych mogła pogodzić ze śledzeniem akcji powieści radiowej „Matysiakowie”, akcji słuchowisk, przebiegu „Podwieczorków przy mikrofonie”, czy „Zgaduj – zgaduli”? W czytaniu chodziło o udział w stwarzaniu wyglądu osób, miejsc, przedmiotów, w kreowaniu obrazu sytuacji, dynamiki zachowań. Trudno, mając przed sobą tak sugestywne zaświadczenia lekturowego rajskiego obcowania, nie ulec niewyartykułowanemu przecież doń zaproszenia.

Mama wiedziała wszystko. Kwestie dotyczące poważnych wydatków, rozwiązania bardziej skomplikowanych relacji zawodowych, rodzinnych mama i ojciec rozstrzygali wspólnie. Bywało, iż nieszczególnie kryli przed Janą i mną nieco burzliwą drogę do konsensusu, chociaż sama wymiana zdań prawie w naszej obecności się nie odbywała. Charakterystyczne, że mogliśmy z Janą obserwować przebieg wyciszania emocji.

Nie mam zielonego pojęcia, o czym Jana rozmawiała w cztery oczy z mamą. A i ja nie zwierzałem się jej, które moje perturbacje w szkole, zadrażnienia z kumplami, czy takie czy inne oczarowania sygnalizowałem mamie. Lubilem też przed mamą się pochwalić, a to że na lekcji byłem poglaskany, a to, że koleżanka raczyła spoglądać przez cały dwadzieścia sekund. Zdarzyło mi się jednak, już nastolatkiem, że zezłoszczony, jak pamiętam, determinacją mamy w odtworzeniu jakichś bardzo nefajnych dla mnie faktów, odpowiedziałem w sposób określany jako odszczeknięcie. Dostałem w pysk. Zapiękło. A przeprosiny mama przyjęła po czasie gwarantującym zrozumienie przeze mnie istoty czwartego przykazania.

3.

I mama, i ojciec przywiązywali dużą wagę do naszych, Jany i moich, osiągnięć edukacyjnych. Wiedzieliśmy, że mamy uzyskiwać wyniki, na jakie nas stać. W starszych klasach podstawówki, kiedy oprócz matematyki pojawiły się różne fizyki i chemie, dla mnie zaczęły się schodki. Moja kochana siostrzyczka, też nie co roku otrzymywała nagrodę. Ani mama, ani ojciec w szczegóły nie wnikali. ➤

► Gdyby chcieli, na pewno znaleźliby dwa kwadransy dziennie, żeby uzyskać szczegółową wiedzę o bieżącym stanie rzeczy.

Owszem, w tygodniu odbywała się rozmowa, podczas której padała rozbudowana (choć bez przesady) odpowiedź na pytanie „co słyhać?”, ale tak naprawdę do pogłębionych analiz byliśmy przygotowani na okoliczność wywiadówki i ma się rozumieć – końca roku szkolnego. Krótko mówiąc – za rezultaty ponosiliśmy przed rodzicami pełną odpowiedzialność, a w razie potrzeby składaliśmy stosowne wyja-

śnienia oraz – tak to bym dzisiaj określił – program naprawy.

Wszelkie swoje wątpliwości co do obiektywizmu oceniania, odczytania symptomów pedagogicznej nieprzychylności (no bo pytania były po prostu nękające albo liczba sprawdzianów i rozległość materiałów przekraczały o tysiące kilometrów granice przyzwoitości), podobnie jak tematy zartów i prowokacji w szkole czy poza szkołą, sukcesów bądź niepowodzeń bezpośrednio związanych z własnym urokiem osobistym – omawiałem z mamą, przy czym to ode mnie zależało, by znaleźć moment na rozmowę intymną jak spowiedź.

A było tak, że spojrzeniem, zadaniem krótkim pytaniem, mama sygnalizowała, iż ten

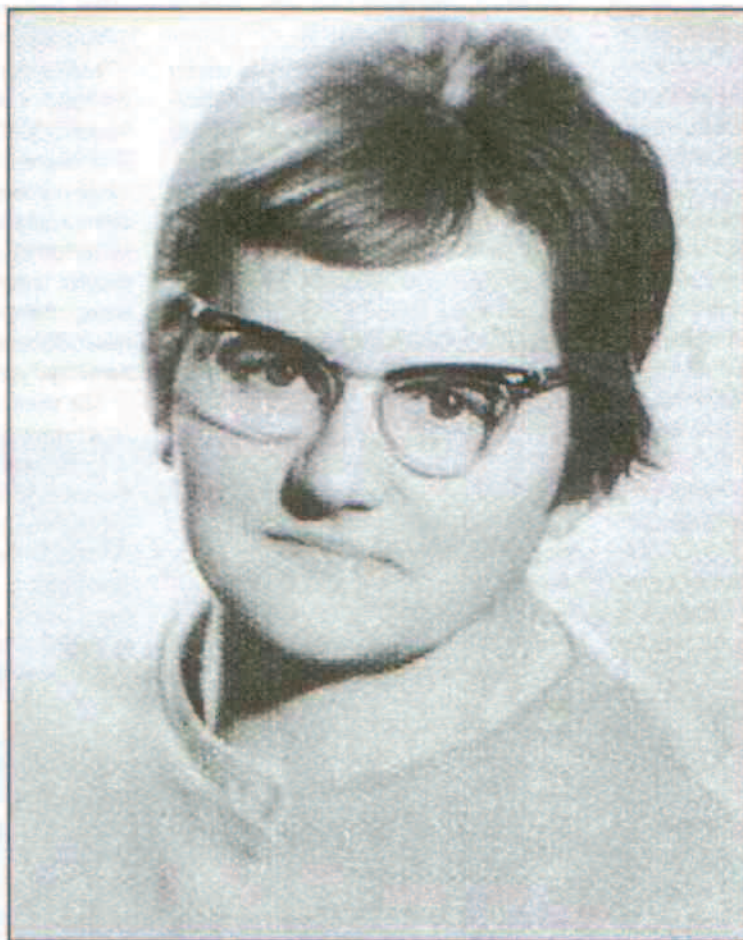
właśnie moment rozmowy intymnej należało wyluskiwać z godzin dni wcześniejszych. Mama nie dawała recept, wskazówek. Nie zajmowała stanowiska. Po prostu rozmawialiśmy. Mama pytała, ja odpowiadałem. Do wniosków dochodziłem sam. Jeżeli wnioski okazywały się błędne (bo niby dlaczego wszystkie miałyby być trafne?) znów od rzeczywistości dostawałem po łbie i w toku następnego momentu rozmowy intym-

nej zbliżałem się do wypracowania rozwiązań prawidłowych.

4.

Motyw przekraczania dzieciństwa i dorosłości wart jest obszernych zapisów pamiętnikarskich. I jeżeli starcza cierpliwości w porządkowaniu faktów, odtwarzaniu szczególnych sytuacji, cyzelowaniu nazw przeżyć, powstają rzeczy zajmujące. Mnie jednak na razie cierpliwości nie starcza. Na razie rozpoznaję miejsca, w których po odejściu mamy boli mocno i bardzo mocno, w których dzięki mamie mogę szukać motywacji do zaciskania zębów, a w których

ze swoich powinności religijnych odpowiednio się wywiązujemy. Jako zaangażowany ministrant wykonywałem, co do mnie należało. Ale, nastolatek, coraz bardziej stawałem wobec wątpliwości. Nie podobał mi się obraz Boga, surowego sędziego. Bywało, że spierałem się z ojcem. Nieraz gwałtownie. Mama żądała ode mnie dwu rzeczy: kontroli sposobu mówienia i panowania nad własnymi emocjami. Za niespełnienie wymagań oczywiście ponosiłem konsekwencje. Nie przyznawała racji. Nie prezentowała własnych poglądów na sprawę. Egzekwowała jedynie poprawność moich zachowań wobec ojca.



Śp. Józefa Hofmańska

wreszcie rozbłyskuje szansa na odzyskanie stanu spokoju.

Wiara? Rzecz arcyważna. Fundament imponderabiliów. I mama, i ojciec byli bardzo religijni. Tak Janę i mnie wychowywali: trzeba się starać, bezwzględnie trzeba się starać, być w porządku wobec Boga. Od Boga wszystko zależy. Bóg widzi wszystko. Dobrze pamiętam jak mama i ojciec się modlili. Z gorącym przejęciem. Z całego serca. Nadzorowali, czy na pewno

Na krótko przed maturą bardzo bliscy koledzy powiadamiali, że mamy mi niemal zazdrościć: życzliwość, delikatność, ale i wyraźna zaznaczająca się stanowczość. A czy domyślali się roztropności: po co kruszyć kopie o rzeczy nieistotne? A empatii: jak można, obcując z człowiekiem, nie odczytywać jego uczuć?

5.

To chyba obecność mamy przy moich szczenięcach i ponadgólowasowych wzlotach i upadkach uodpomiła mnie na wszelkie wodosodowe zagrożenia. Jeśli się stało wobec realnej możliwości niedopuszczenia do matury z matmy, a ta bardzo realna możliwość wprowadzała w stan bliski obłędu albo – jeśli się skamle, że kierunkowe egzaminy po

drugim roku polonistyki są przeszkodą nie do przebycia, to wystarczy tylko przypomnienie wyrazu matczynych oczu z tych właśnie okoliczności, by wszelkim tak zwanym sukcesom nadawać właściwą rangę.

Osiągnąwszy dorosłość (pełną dorosłość: małżeństwo, praca zawodowa), dbałem o to, żeby relacje Ewy (żony), później Wojtka (syna) z mamą i z ojcem były takie, jakie być winny. I były. Naprawdę były. To czego się wstydzę? Siebie. Że odkąd za-

częła się dorosłość „opuściłem matkę swoją i ojca swego” i rzuciłem się w wiry swoich codzienności i święteczności Ewy i Wojtka i nie dysponowałem już żadną rezerwą czasową. Dlatego się wstydzę. Mamę i ojca odwiedzałem i odwiedzaliśmy coraz rzadziej i coraz krócej. Później tylko mamę sporadycznie i krótko. Wspaniałe urządzenie telefon stacjonarny! Telefon stacjonarny umożliwia prowadzenie rozmowy bez spoglądania w oczy. Na przykład w oczy matki.

Jana chyba wie, że jestem jej wdzięczny i się wstydzę. Bo to Jana zapewniała do końca opiekę mamie i ojcu. Ja byłem potrzebny trochę. Bardzo trochę.

6.

W ostatnich chwilach mamie, Józefie Hofmańskiej z domu Bednarkiewicz, intensywnie towarzyszył jej ojciec, Zygmunt Bednarkiewicz, zmarły chyba w roku tysiąc dziewięćset trzydziestym piątym. Pojawiała się jej mama, Władysława Bednarkiewicz, zmarła króciutko przed Bożym Narodzeniem tysiąc dziewięćset siedemdziesiątego siódmego roku. Mama powiadała o obecności braci: najstarszego – Zygmunta, mocno zaangażowanych w przedwojenne i konspiracyjne harcerstwo – Kazimierza, który nie przeżył przymusowej pracy w Niemczech, i – Mariana – po zakończeniu wojny osiadłego w Otmuchowie na Opolszczyźnie. Powracała na probostwo przy kościańskiej farze, gdzie posługę pełnił stryj – ks. Stanisław Bednarkiewicz, zamęczony w Dachau. Zanurzała się w szczęśliwe chwile dzieciństwa i młodości w Kórniku nad jeziorem, pod opieką ciotek – siostrzycy jej ojca. Znowu była nastolatką pracującą w okupacyjnym kościańskim szpitalu, razem ze swoją siostrą, Marią (ale nazywaną - Anielą), mieszkającą dzisiaj w Zamościu moją matką chrzestną.

Swego czasu oglądałem mamy świadectwa szkolne. Wiem, że pierwszego września tysiąc dziewięćset trzydziestego dziewiątego roku nie rozpoczęła już jako prymuska nauki w siódmej klasie szkoły powszechnej. Na naukę trzeba było poczekać do roku 1945. Ale trzeba było też pracować. A potem mama wyszła za mąż. A potem pędziło życie owocujące.

Jerzy – pan redaktor Jerzy Zielonka – kazał mi napisać wspomnienie o mamie. Nie powiedział dokładnie dlaczego. A ja, maminsynek, o mamie stale jeszcze nie potrafię pisać.

TADEUSZ HOFMAŃSKI

Wiersze Tadeusza Hofmańskiego

POETA ROZPOZNAJE SYTUACJĘ
W OKOLICZNOŚCIACH ZDARZEŃ
SIÓDMEGO WRZEŚNIA
DWA TYSIĄCE JEDENASTEGO
I PIERWSZEGO LUTEGO
DWA TYSIĄCE DWUNASTEGO

Moja Mama i Pani od Duszy
zadały mi zdecydowanie
za wiele

Bez porozumienia ze sobą
polecili
bym rozstrzygnął kwestię

wydoskonalenia bycia
po przebyciu drogi

Bycie udoskonalone jednak
najprawdopodobniej
opatrzone jest kodem

dla mnie
- w drodze –
niedostępnym

Wygłądałem więc kropel
ze strużki
następnych teraz

(a wyglądam nietęgo?
i w drodze
i w byciu rozpaczliwie ułomnym)

aż wypatrzę
Już

Moja Mama i Pani od Duszy
(być może trochę smutno)
dziwią się

że tak bardzo
nie nie wiem

POSZUKIWACZ
OSTATNIEJ DESKI RATUNKU
PRZYSTĘPUJE DO STAWIANIA
WSTĘPNYCH HIPOTEZ

Z drugiej strony
Ostatniej Nocey
kaskada najradośniejszych powitań

Na twarzach skąpanych serdecznością
uśmiechy
doskonale czystego szczęścia

I żart za żartem
z niedorzeczności
minionego błędzenia

POSZUKIWACZ
OSTATNIEJ DESKI RATUNKU
PRZYGOTOWUJE
PIERWSZĄ SYMULACJĘ

Kiedy Zaświat się zaśmieje
światlistymi może błękitami
zieleniami czerwieniami

lub jeszcze inaczej

i Trwanie się odsłoni
nie na niby
lecz szczęśliwie

od zawsze do zawsze,

oniemieję czy
że warto było
powiem?

Dla chlebów powszednich
różnosmakowych różnoziarnistych
z pieców niejednych?

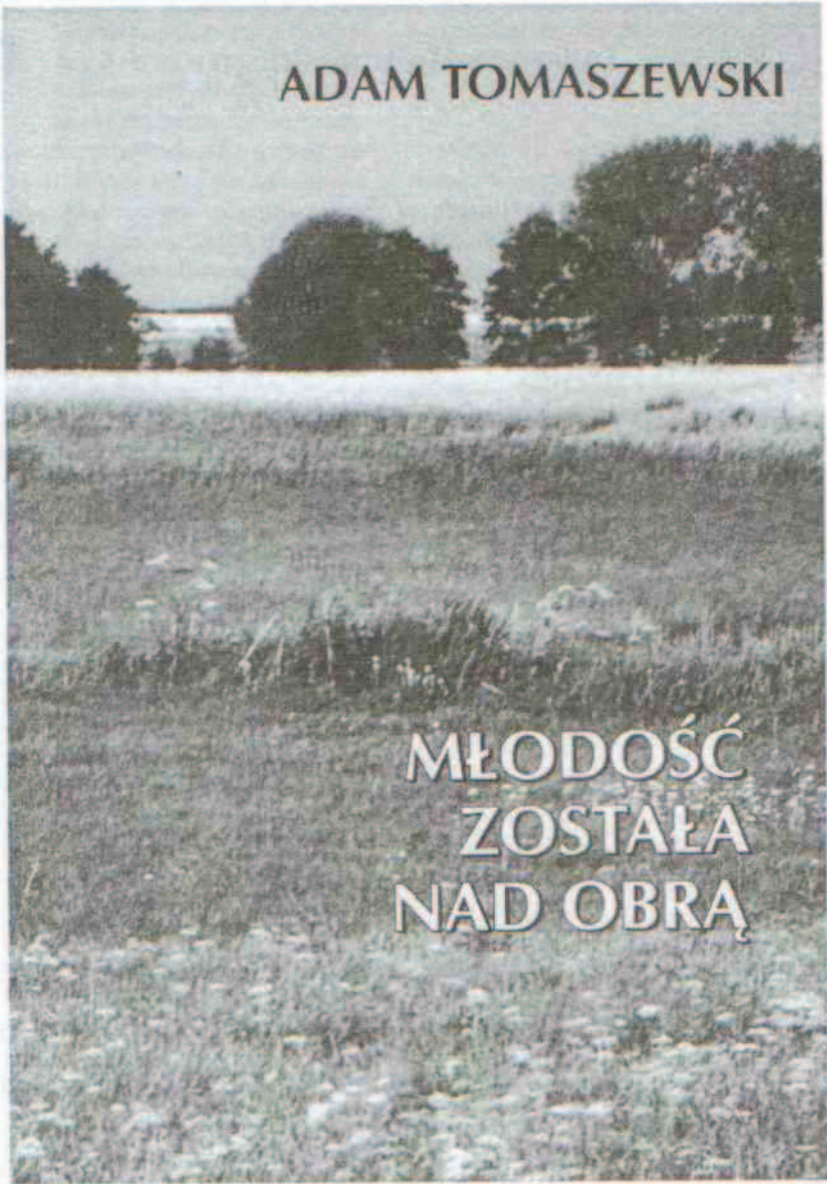
Dla pięciu sekund które
na pewno
na wieczność?

Dla
odgadywania
nieodgadnionego?

Kiedy Zaświat się zaśmieje
i Trwanie odsłoni
nie na niby

powiem
że dobrze wracać?

TADEUSZ HOFMAŃSKI



ADAM TOMASZEWSKI

MŁODOŚĆ
ZOSTAŁA
NAD OBRA

Zew

jednej krwi (1)

Zieleń łąki upstrzona kwiatami. Trochę dalej musi być rów. Trawy tam bowiem wyższe. Za nim znowu łąka. Innego już jednak koloru. Jakby bardziej brązowa. I miedza. A potem złocisty łąk zboża. I ponownie rów. Na nim jednak z rzadka rozsiadły się krzewy i drzewa. I znowu łąka, rów, łąk, zboża, miedza i tak aż po kres; aż po daleki horyzont. Gdzie jest taki widok? Ano wszędzie. Za Sierakowem i pod Oborzyskami. W okolicach Naclawia i jak spojrzeć w kierunku Lubosza. Musiał więc być także i na okładce tej książki. I jest. Patrząc na Nią i nie umiając wymyślić nic lepszego myślę sobie parafrazując słowa Poety – Na Ciebie Ziemia nasza długo czekała, długo, jak Żydzi... I wreszcie jesteś.

Kiedy dowiedziałem się o niej pierwszy raz? Z samego początku lat siedemdziesiątych. Któregoś dnia Jurek Zielonka powiedział do mnie, w holu Uniwersyteckiej Biblioteki w Poznaniu: - Wiesz, kościaniak, Adam Tomaszewski, przedwojenny absolwent naszej „budy” wydał w Londynie książkę o Kościanie. Skąd to „Zielony” mógł wiedzieć? Nie mam pojęcia. Ja dowiedziałem się od niego.

Mijały lata. Nazwisko Tomaszewskiego kojarzyło się już z następnymi tytułami poświęconymi naszemu miastu. I szły opowieści o tych książkach. O sposobie przedstawiania w nich ulic i placów. O znajdujących się na ich kartkach sylwetkach ludzi, o obrazach wydarzeń, które tu nad Obrą miały miejsce... I tylko tych książek nie było.

Któregoś dnia, już w latach osiemdziesiątych, dowiedziałem się, że książkę, właśnie tę pierwszą, o młodości, która została nad Obrą, ma rozmiłowany w Ziemi Kościańskiej, naczelnik „skarbowki” – Miron Ratajczak. Pobiegłem do niego. Pożyczył mi. Składała się ona z odbitych na ksero kartek. Jednostronnie zadrukowanych. Wpiętych w pożątej grubości szarą teczkę.

Skąd to Miron zdobył? Pożyczył od Jasia Kozaka. Ten też miał tylko ksero. On z kolei od pani mgr Jadwigi Czarnej. Pani Dyrektor zaś od Maniusia Koszewskiego, który mimo granic i zakazów zdobył ją dla siebie i dla kilku przyjaciół. Tak to i szło.

W tamtych czasach kserokopiarka w naszym kraju to była nowość i rarytas. Dzięki jednak uprzejmości Komornika, na jego sprzeczcie i ja odbiłem swój egzemplarz...

Czytałem go na okrągło. Niewiele wart tusz liter, pod wpływem światła, bladł coraz bardziej. Za każdą jednak przewróconą kartką dawno miniony czas wracał i stawał przede mną.

Sześć – może siedmioletni, siedziałem za linią boiska w Kurowie. W każdej chwili byłem gotów biegiem przynieść zbyt mocno podaną piłkę. Wiedziałem, że jeżeli dobrze się spiszę, pozwolą mi ją nieść, gdy upojeni zwycięstwem, będziemy wracać. Trzy komety – jedenacha. Ulica nazywała się już wtedy Poznańska, ale to była przecież ta przedwojenna, książkowa Czempiańska...

Ulica dzieciństwa. Od krzyżówki lekkim łukiem w lewo coraz szerzej rozbiegały się domki z czerwonej cegły i od-

suwały w głąb ogródków, po przelazach, w gmatwaninie „skróków” na ogrodzie i łąki. Znałem każdy jej zaułek, każdy kąt...

Byłem najmłodszym członkiem klubu sportowego naszej ulicy następcy książkowej Kościanianki. Jego siedziba była w pomieszczeniach po dawnym sklepie państwa Kostańskich. Stadion sportowy tworzyły przydzielone nam cztery działki, na skraju powstających właśnie ogródków. Miały tam być szatnie, trybuny... Takie mieliśmy plany. Z czego? Na przeciw olejarni państwa Helwigów trwała właśnie budowa szkoły. Ci najstarsi spośród nas skrupulatnie wylczyli ile z tej budowy musi „zwinąć” cegieł każdy członek klubu, ażeby to się stało możliwe...

Dziś z perspektywy pięćdziesięciu lat, cieszę się i wdzięczny jestem losowi za to, że z jakiś powodów nie doszło wówczas do realizacji tych projektów.

Ci najstarsi, frechowne szczuny, kondy zawołane, rządziły młodszymi twardą ręką. Jak opisać, co przeżywałem, gdy, ot tak sobie, wpakowany przez nich w wiadro, zjeżdżałem w ciemną czeleść studni znajdującej się w podwórzu państwa Kuśnierków...

Kolejne kartki... Na kolejarskiej kolonii, czort wie dłaczego zwanej „Wesołym Miasteczkiem”, z nosem przyklejonym do szyby, w domku ciotki Peli, zgarbiony, niezauważalny, miałbym się z pyszną, gdyby mnie przyłapano, gapilem się na rozgrywającą się

przede mną „bibę”. A jakże, zadzierzystä, sytą i pitną. Ojciec, wysoki, przystojny, z czarnym wąsikiem Rudolfa Valentino, nogą wybija rytym. Wzbijany tańcem kurz wiruje w takt taira – ojra, takira – ojra, ej... Michy kielbasy, kapuchy, parującej kichy...

Znowu kartki... Słońce wyżej. Od samego rana przemyśliwuję jak wyrwać się „na kanał”. Wreszcie udaje mi się. Przez ogrody, byle szybciej, poprzez Gostyńską, wzdłuż torów, na „cypel”, a potem na Łazienki. Wilgot-

ne łachy tego pierwszego. Pociągi odmierzają czas. Liście osik otaczających Górę Ferfeta drżą pod wpływem lekkiego wiatru. Gdzieś dalej bije ratuszowy zegar. Na drzwiach, w kuchni naszego mieszkania, na futrynie wisi pięciorzemienny harapacz, czekając na wymierzenie kary, której za niesubordynację uniknąć niepodobna...

Wieczorem, starszy, chudy, wysoki facet z długą tyką zapala gazowe latarnie...

Następne kartki... Przed szkołą trzeba skręcić do Fary. Koniecznie. Od kolorowych witraży, idzie na kościół wzbudzona porannym słońcem różowa poświata. Co rano próbuje tu wymodlić

wiek, osiołek, wózek. Może to był ten książkowy Iwan...

Kartki... Mój kuzyn z Gurostwa, Zygmunt Maćkowiak, znacznie ode mnie starszy, podarował mi łyżwy, holenderki, przykręcane do obcasów. Z mozołem uczyć się jeździć najpierw na ulicy. Idzie coraz lepiej, a więc na łąki, poprzez czarne olszyny, aż po odległe wioskowe dymy co pełzną po wypranym z niebieskości niebie, aż po Gryżynę.

Zachorowałem. Prawie dziesięć lat. Ojciec na rękę doniósł mnie do szpitala. Z końca Czempieńskiej. Po korytarzach majestatycznie, w białych kornetach, przepływają siostry. Klękają w wieczornym mroku. Cały



Na pierwszym planie od lewej: Zdzisław Wojtczak, Adam Tomaszewski i Józef Kubicki.

Fot. Jerzy Wizerkaniuk

Trójczyny. Jakże często bezowocnie. „Andzia”, „Krusz”, ciągle żywe wspomnienia dyrektora Irzabka (jego żona uczy mnie rosyjskiego), sam gmach gimnazjalny.

Skwar letniego dnia, skrzyżowanie ulic, letni bezruch i delikatny stukot kopyt osiołka ciągnącego dwukółkę. Przy nim staruszek. Nie mogę niestety przypomnieć sobie ani jego nazwiska, ani też imienia, czy chociażby przezwiska, które mieć przecież musiał. Nic. pustka. Tylko ten widok – stary czło-

szpital rozbrzmiewa śpiewem „Wszystkie nasze dzienne sprawy...”

Pan Kosmański nie wozi co prawda już paczek z książkami do księgarni Tomaszewskich w Rynku. Tą samą jednak ogumioną platformą rozwozi węgiel. Był, gdy go zapamiętałem, już w latach. Czasem zdarzało mu się, znużonemu całodzienną pracą i może jednym lub dwoma kielichami czegoś mocniejszego, drzemnąć na koźle. Stary, nieduży, pełen poczciwości kary konik (może też ten książkowy?).

▶ bezbłędnie i niezawodnie, człapiąc nogą za nogą, wioził swego pana na Czempiańską, stawał przed wąskim wjazdem i cierpliwie czekał aż otworzą im bramę...

Kartki... Coroczne pielgrzymki do Oborzysk. Piaszczysta droga obok wieży ciśnień, zwanej wodociągiem (stałe żywą opowieść, powtarzaną rok po roku mimo upływu czasu, jak to jeden z murarzy w czasie jego budowy, a więc gdzieś w początku wieku, runął spod chmur na ziemię). A potem równoległe do torów. Kurz. Boże męki. Pierwsze pod Pianowem. Druga przy skrzyżowaniu do Oborzysk Nowych. I przejmujące, płynące z głębi serca, płynące z głębi duszy zawołanie – „Serdeczna Matko, Opiekunko ludzi...” Idą wszyscy z naszej ulicy. Proszę mi wierzyć, gdzieś dopiero w połowie lat pięćdziesiątych widziałem pierwszego, a raczej pierwszą, która nie poszła...

Na placu Żołnierza witanie pielgrzymek powracających z Górki Duchownej. Blask bijący z dziesiątków, setek, kolorowych lampionów.

Biegają lata. Zaproszony przez Ojca, pewnej niedzieli, po kościele, piję z nim pierwsze oficjalne piwo, jestem już po maturze. No gdzie to mogło nastąpić?... Oczywiście, na piaszczystej porębie w lasku, u Migdała. Musiało być grodziskie, z sokiem. Jakbym jeszcze czuł jego cierpki smak. Gul, gul... – Smarkocz jeszczyk jezdeś, jedyn kufelek musi ci storczyć...

Kartki, kartki, kartki... I wspomnienia, wspomnienia, wspomnienia... Piękna to książka, piękna jak nasza Ziemia, jak wspomnienie najszczęśliwszych dni...

Oczywiście, że to literatura. Przedniej marki, ja wiem, może nawet najprzedniejszej. A jeżeli tak, to muszą być i sympozja naukowe referaty ją analizujące. Zasługuje na to. I chwała organizatorom, chwała Pani Dyrektor – pani mgr Jadwidze Czarniej za trud i wysiłek związany z tą inicjatywą. Tak na marginesie. Mam jeszcze jedną książkę Adama Tomaszewskiego odbitą tylko na ksero. Chodzi o wydaną w 1981 roku w Toronto „Gorzko pachną pioluny”. Myślę, że i tę pozycję należałoby udostępnić kościaniakom (cdn).

ZDZISŁAW WOJTCZAK

*Tekst za: O Adamie Tomaszewskim, Stowarzyszenie Absolwentów Gimnazjum i Liceum, Kościan 1997.



Tablica pamiątkowa na budynku kościańskiej biblioteki. Fot. Teresa Masłowska

Kowboje, Apasze, Mormoni (II)

Adam Tomaszewski przemierzał Stany Zjednoczone Ameryki. Owocem jego podróży są reportaże o historii USA w XIX i XX wieku opublikowane w książce „Kowboje, Apasze, Mormoni”. Oto wybrane fragmenty.

Od stuleci, od czasów odkrywców Nowego Świata, znane były żeglarzom hazardy tych wybrzeży. Statki, marynarze, kapitanowie – nie mieli jednak wyboru. Geografia, ekonomia, wiatry, prądy, nakazywały żeglugę po tych wodach, jeśli chcieli w ogóle żeglować. Konieczność przewożenia karga z północy na południe i odwrotnie, w epoce która nie znała nowoczesnych dróg, transportu kołowego i lotniczego, rynek lokalny z jego zapotrzebowaniami, lukratywność Coastal Trade, wszystko to kierowało statki w zasięg latarni morskiej w Cape

Hatteras. Tędy wędrowały towary z Ameryki Południowej i Indii Zachodnich, towary południowych stanów, podążające do portów Norfolku, Nowym Jorku, Bostonie. Ładunki, które nigdy nie dotarły do miejsca przeznaczenia. Głębiny w sąsiedztwie Diamond Shoals pochłonięły tysiące ton kawy, cukru, tytoniu, herbaty, bawełny i wyrobów tekstylnych, tysiące baryłek rumu z Jamajki, paki cygar z Hawany, skrzynie cynamonu, wanilii, goździków.

W obu wojnach światowych niemieckie łodzie podwodne wyznaczały

sobie tutaj rendez-vous, w widmowym sąsiedztwie gnijących wraków leżały cicho na dnie Atlantyku, czekając na alianckie konwoje, widoczne jak na dłoni na tle jasno oświetlonego wybrzeża. „U-151” korwetten – kapitana Von Nostitza, „U-140” – fregatten – kapitana Kophaneta, „U-117” – kapitana-porucznika Droschera. Buchały po nocach eksplozje śmiertelnie trafionych tankowców, płonęła rozlana po falach benzyna, ginęli ludzie i statki szły pod wodę. Aż pod koniec obu wojen odmieniała się karta. Kontrtorpedowce i korwety grzmotem bomb głębinowych przepędziły korsarzy, niejedna łódź podwodna została na zawsze wśród cmentarzy. Do nazwy „Graveyard of Atlantic” przybyła nowa – „Torpedo Junction”.

Dziwne wpatrywać się na tych wodach w głębinę. A nuż wypatrzy oko szczątki statku-widma, który w czasach nam już współczesnych zginął tu jak zginęło tylu poprzedników? Pięciomasztowy szkuner „Carrol A. Deering”, jeden z ostatnich wybudowanych w Stanach zagłowców, zatonął w Diamond Shoals w roku 1929. Uszkodzony statek wyrzuciła woda na mielizny Ocracoke. Bez załogi. Prawdopodobnie spuścili szalupę i utonęli na wzburzonym morzu. Statek ich natomiast rozpoczął widmową wędrówkę. Nowa burza zabrała wrak z Ocracoke i pozostawiła na plaży w Hatteras, następna nawałnica zaniósła szczątki na dawne miejsce w Ocracoke. Leżał tam nieszczęsny kadłub przez kilkanaście lat i stanowił turystyczną atrakcję, aż huragan Gracie poniósł go na ostatnią wędrówkę z której już nie wrócił. Może jeszcze wróci?

Od stuleci nawarstwiały się legendy. Rosły ciągle wokół tych wybrzeży, pełnych zagadek coraz już trudniejszych do odcyfrowania. Pracują nad nimi badacze, historycy, pisarze, powstała wcale poważna bibliografia publikacji zajmujących się wybrzeżami Północnej Karoliny.

W sierpniu 1587 siedem angielskich fregat, eskadra wielkiej floty Franciszka Drake, weszło przez gardziel między wyspami Hatteras i Ocracoke, do zatoki Pamlico. Tłum kolonistów, głowa przy głowie stłoczonych u burt, wpatrywał się z ciekawością i niepokojem w plaże wyspy Roanoke, w zielone fale bijące surfami o brzegi, w stada wielkich mew morskich krążących z piskiem nad wodą.

W zgiełku lądowania, w zgiełku wytaczania na ląd ciężkich skrzyń z przy-

odziewą, pak z narzędziami, baryłek z solonym mięsem, nikt nie zauważył ciemnych postaci przyległych na skraju gęstwiny. Później kiedy tłum mężczyzn poszedł w las z siekierami, kiedy huk walących się dębów, hickory, sykomór rozchodził się echemi po głębiach leśnych, czerwonoskórzy cofnęli się głęboko w puszcze i tylko z daleka, zza zasłony podszycia, nie zdejmowali czujnych oczu z przybyszów.

A tamci nie próżnowali. Wyrosły bronne cekhaury i palisady, stanął warowny Fort Raleigh. Odpłynęły statki pod wodzą Richarda Grenville'a. Za ostrokołem warczały kołowrotki, stuknęła żarna mielące mąkę na chleb, pulsowało życie, zadomowione już, niosące nadzieję na przetrwanie. Zabity serca otucha i radością na pierwszy krzyk niemowlecia w rodzinie kolonisty Dare. „Pierwsza kolonia angielska w Ameryce została założona, są pełne podstawy do nadziei że kolonia utrzyma się i rozwinie” – melduje Grenville królowej Elżbiecie.

Ale życie opowiedziało się przeciw optymizmowi. Przykra niespodzianka spotkała zamorskie plany królowej Elżbiety i jej oddanych rycerzy-korsarzy. Przez trzy lata angielskie okręty zaangażowane są w wyprawach i morskich awanturach, na próżno koloniści na wyspie Roanoke wypatrują przyjaznych żagli wchodzących do Pamlico. Wreszcie w roku 1590 brytyjscy marynarze lądują na wyspie. Wita ich cisza i pustka. W domach fortalicy grają tylko świerszcze, na dziedzińcu bujnie wystrzeliły łopiany, przez palisady szarymi girlandami przewiesił się hiszpański mech. Nikogo. Co stało się z kolonistami? Dotąd historycy nie rozwiązali zagadki. Może wymarli z jakiej dziwnej choroby. Może wymordowali ich piraci? Może uprowadzili czerwonoskórzy? Tę ostatnią hipotezę potwierdzałby znany od dawna fakt, że Indianie z pobliskiego rezerwatu podkreślają z dumą, że w ich żyłach płynie krew białych przodków.

Niedaleko historycznego Fortu Raleigh wybudowano teatr plenerowy. W czasie letnich miesięcy Towarzystwo Dramatyczne Północnej Karoliny gra sztukę Pawła Greena „Zagubiona kolonia”. Przed publicznością złożoną z turystów i letników przesuwają się bajeczne sceny z życia Indian i kolonistów, dwór królowej Elżbiety, postacie Wal-

tera Raleigha, Francis Drake, Richarda Grenville'a, tłumy brygantów, awanturników, miejscowe piękności ucharakteryzowane na Indianki, kolonistki, damy dworu.

Sztuka wystawiona pod otwartym niebem, na tle specyficznych miejscowych realiów, robi duże wrażenie. Podobnie jak pobliskie muzeum pokazujące aspekty życia kolonistów i Indian. Z epoki, która wyniosła wysoko zrab wielkiego władztwa, stalową stopą wpartego w posiadłości wielu mórz i oceanów.

Zwykły szczęśliwy przypadek zetknął nas z Jackiem Rollinsonem. W ciągu całego życia Jack nie słyszał z pewnością o Conradzie czy Somerset Maughamie, wątpliwe zresztą czy czytał w ogóle cokolwiek poza Biblią i okazijnym numerem „Virginia Pilot”, gazety wychodzącej w Norfolku.

Ale Jack ma za sobą wiele lat służby w Straży Przybrzeżnej, wiele lat połowów, wypraw i przygód, na morzu zna się lepiej od oceanografów, ponadto lubi i potrafi opowiadać. Syn Jacka, Harry, skipper przybrzeżnej łodzi rybackiej, miał nazajutrz zabrać nas na ryby. Kiedy zasłaliśmy omówić szczegóły wyprawy, nie zastaliśmy Harrego w domu. Pojechał z wędkarzami z New Jersey trollować po Golfstronie.

Na szczęście stary Jack okazał się nad wyraz rozmowny, słynna wyspiarska gościnność też okazała się rzeczywistością... Uśmiechnięta gospodyni zastawiła stół usmażonym na złocisty kolor pstrągiem morskim, filetemi z kraba, yamsami, rodzajem blinów, marynatą z tutejszych fig. Po kolacji, ciągnąc dym z glinianej fajki, stary Rollinson rozpoczął opowiadać. Ożył dawno zapomniany świat przygody, posmak niesamowitości i tajemnicy, świat ukryty pod okładkami książek, których nawet tytuły dawno wypadły z pamięci.

..... Miał „Czarnobrody” piętnaście żon, cały harem. Ukrywał swe statki gdzieś w komyszach Pamlico. Srogim terrorem zmusił do posłuchu mieszkańców szerokich połaci wybrzeża. Jedni się go bali, drudzy z nim pili, jeszcze inni handlowali. Wszędzie po wyspach a i daleko w głębi „Mainlandu” miał swoich współni-

ków i popleczników. Donosili mu o wszystkim. Nosił pirat brodę długą i gęstą, kręcił z niej czarne warkoczyki przewiązane wstążkami. Brutalny, bezwzględny i dziki wpadał na czele swych zbirów na pokłady napadniętych statków i mordował marynarzy i podróżnych, oszczędzając tylko co piękniejsze kobiety. Edward Teach „Blackbeard” zginął w roku 1718 w pobliżu wyspy Ocracoke z ręki porucznika Brytyjskiej Królewskiej Marynarki, Roberta Maynarda”.

O kapitanie Johnie Rackamie – „Calico Jacku”, śpiewano pieśni na brzegach obu Ameryk. Czarne „mammies”, gdzieś w Savannah, Charlestonie, Tampie przywoływały jego imię jako ostatnią instancję, kiedy dzieci białych plantatorów były niesforne, kiedy nie chciały spać: „Przyjdzie Calico Jack i zabierze cię do worka”. Prostopoduszne, czarne „mammies” ani śniły o białych siostrach, które zatrudnione po dworach nieco innych „plantatorów” stosowały tę samą taktykę, zastępując „Calico Jacka” swojskim wariantem: „Przyjdzie i zabierze cię dziad”.

Okrutny i rycerski, chciwy i wspaniałomyślny był ten pirat. Grasował od Karaibów po Kanadę. Związały z nim losy dwie kobiety – Mary Reid i Anne Bonny. Całą trójkę przyłapano u wybrzeży Jamajki. John Rackam zginął na stryczku, co do losu jego towarzyszek świadectwa kronikarzy są niezgodne, zmarły prawdopodobnie w więzieniu.

W długim szeregu gangsterów i bandytów morskich grasujących w tych stronach, tradycja wyróżnia jeszcze imię i czyny Stede Bonnet. W historii korsarstwa sporo takich ludzi, o sprzecznych cechach charakteru.

Dawniejszy brytyjski oficer, dawniejszy plantator na Barbados, Stede Bonnet został piratem uciekając od kłótniowości własnej żony. Relacje ówczesnych marynarzy i mieszkańców wybrzeża podkreślają zgodnie łagodność, wspaniałomyślność, dobre serce tego człowieka, który jako by cieszył się powszechną sympatią. A równocześnie Stede Bonnet miał wynaleźć ów okrutny, stosowany później powszechnie sposób korsarskiej egzekucji. Marsz po desce, w paszczęki czekających rekinów.

Czar trwa. Zachodzące słońce pali się na piaskach diun a nam wydaje się, że to „Czarnobrody” i „Calico Jack” i Stede Bonnet i Mary Reid i Anne Bonny, przesypują w palcach swe złoto i liczą dukaty i piastry.

Nareszcie wraca Harry. Umawiamy się na dzień następny. Wieczór. Zwykle tu bogactwo kolorów. Zniżają się pelikany. Wracają nocować na przybrzeżnych ławicach. Latarnia morska posyła już sygnały. Wieczorną pieśnią pełnego przypływu szumi Atlantyk.(cdn)

ADAM TOMASZEWSKI

*) Adam Marian Tomaszewski. Ur. 9 sierpnia 1918 r. w Kościanie. Tu zdał egzamin dojrzałości w Państwowym Gimnazjum św. Stanisława Kostki. W latach 1938 – 1939 studiował w Akademii Medycyny Weterynaryjnej we Lwowie. Żołnierz Armii Krajowej. Ukończył podziemną Szkołę Podchorążych Piechoty. W powstaniu warszawskim odznaczony Krzyżem Walecznych. Jeniec obozów w Sandbostel i Westertimke. Ppor. oddziałów wartowniczych w amerykańskiej strefie okupacyjnej w Niemczech. W Kanadzie od 1948 r. Absolwent slawistyki na Uniwersytecie w Ottawie. W latach pięćdziesiątych członek Konfraterni Artystycznej „Smocza Jama”. W latach 1961-1964 współredaguje wraz z żoną, dr. Jadwigą Jurkszus-Tomaszewską „Prąd” - miesięczny dodatek literacko-kulturalny do ukazującego się w Toronto „Głosu Polskiego”. Jeden ze współzałożycieli Polskiego Funduszu Wydawniczego w Kanadzie, jego wieloletni sekretarz i członek zarządu. W latach 1976-77 redaktor „Głosu Polskiego”. Współpracownik „Wiadomości”, „Oficyny Poetów”, „Tygodnia Polskiego”, „Ostatnich Wiadomości” i „Przeglądu Polskiego”. Autor kilkunastu książek, m.in. *Młodość została nad Obrą* (Londyn 1969), *Gorzko pachną piotuny* (Toronto 1981), *Gdzie jesteś, Itako?* (Toronto 1985), *Chleba naszego powszedniego* (Toronto 1988), *Śpiew Syren* (Londyn 1993) oraz *Krzyk dzikiej gęsi* (Poznań 2000). Wraz z żoną Jadwigą Jurkszus-Tomaszewską opublikował tom reportaży i esejów *Toronto, Tronto, Trana* (Toronto 1967) oraz zbiór reportaży *I to jest Meksyk* (Londyn 1972). Członek Stowarzyszenia Pisarzy Polskich. Honorowy obywatel miasta Kościana; jego imię nosi Miejska Biblioteka Publiczna w Kościanie. Zmarł 9 sierpnia 2002 r. w Kościanie. Mija 10 rocznica Jego śmierci.

Jak już wspomniano, na terenie Ziemi Kościańskiej znajduje się wiele grodzisk. Budowie tego typu obiektów sprzyjało ukształtowanie terenu, a zwłaszcza jego bagieny charakter, rzeka Obra oraz w pewnym okresie położenie na rubieżach Wielkopolski i Śląska. Upływ czasu, a także działalność ludzi spowodowały, że wiele z nich na przestrzeni wieków zostało zniszczonych lub uległo dużej deformacji. Położenie w specyficznym terenie powoduje jednak, że nawet w dzisiejszych czasach dostęp do wielu z nich jest bardzo utrudniony. Na przykład na teren grodziska w Bonikowie można wejść w zasadzie tylko w suchej porze roku. Wszystkie te zabytkowe budowle znajdują się pod wyspecjalizowaną opieką służb konserwatorskich i podlegają prawnej ochronie. Nieświadomość lub beztroska ludzi była w przeszłości przyczyną wielu szkód. Już przed II wojną światową odnotowano usuwanie ziemi z wału grodziska w Białczu Starym. Podobna sytuacja w tym samym miejscu powtórzyła się w 2003 r.

Istniejące na naszej ziemi grodziska różnią się nie tylko rozmiarami i kształtem, ale także okresem, w którym powstały. Do najstarszych należy grodzisko w Bruszczewie, pochodzące z wczesnej epoki brązu, tj. 2000-1600 lat p.n.e. Stanisław Jansosz pisał o istniejących na Ziemi Kościańskiej grodziskach:

„Obecnie są to przeważnie niezbyt wysokie koliste wały, otaczające niewielką kotlinkę (np. Prochy, Trzciniца, Białcz Stary). Czasem widoczne są pozostałości rowu – fosy otaczającej grodzisko i stanowiącej dodatkowy element obronny. Niekiedy grodzisko ma bardziej rozbudowaną formę i składa się z kilku pierścieni wałów obronnych (np. Bonikowo)”. I dalej pisze: „Szerokość wałów nie przekraczała zazwyczaj 7 m, wysokości 3 m. Wewnątrz grodu znajdowały się budynki rozmieszczone wokół wałów, a środek

O grodziskach (2)



Grodzisko w Białczu Starym. Zdjęcie lotnicze Marka Kaczmarczyka z Poznania. W zbiorach Muzeum Regionalnego im. dra Henryka Florkowskiego w Kościanie.



Grodzisko w Bonikowie. Zdjęcie lotnicze Marka Kaczmarczyka z Poznania. W zbiorach Muzeum Regionalnego im. dra Henryka Florkowskiego w Kościanie.

grodu pozostawał niezabudowany., niekiedy znajdowały się tam tylko jamy magazynowe. Grody tego typu od innych osiedli wiejskich różniły się tylko umocnieniami, które wznoszono dla zapewnienia bezpieczeństwa mieszkańcom i ich dobytkowi, a zwłaszcza stadom bydła, będącego wówczas największym bogactwem”.

Grody powstające na terenach nadobrzezańskich w wiekach VII-IX były lepiej ufortyfikowane niż poprzednio. Konstruowane wały rusztowe przesypywano ziemią (Bonikowo). Były one jednak mniejsze od poprzednio istniejących, w których wnętrzu znajdowało się niewiele budynków. Nie miały też charakteru schronieniowego, a stanowiły punkty oporu. Wspomniany Stanisław Jasnosz wywodzi że:

„W ciągu IX i X wieku liczne grody plemienne tej ziemi tracą swe znaczenie i zostają opuszczone bądź zniszczone w trakcie walk. W początkowym okresie istnienia państwa polskiego w końcu X i pierwszej połowie XI wieku sieć grodów obronnych na Ziemi Kościańskiej jest daleko rzadsza niż w wiekach poprzednich. Inne ośrodki grodowe Ziemi Kościańskiej należą już do wieku XIII bądź początku XIV wieku (Kościan, Kurzagóra Nowa pod Kościanem)”.

Jeśli chodzi o rodzaj budowanych grodów to należy stwierdzić, że większość grodzisk Ziemi Kościańskiej to obiekty wklęsłe. Do czasów współczesnych zachowały się grodziska położone w następujących miejscowościach:

1. Białcz Stary – grodzisko wklęsłe, położone na podmokłej łące na północny-zachód od Białcza Starego, przy drodze Białcz Stary – leśniczówka Prętkowice, 200 metrów na wschód od Kanału Obry. Znaleziono tam łyżwę, ułamki naczyń glinianych, kości zwierzęce oraz spaloną kość

ludzką. Wysokość wału 4-5 m, szerokość na dole 25 m, a na górze 2-3 m. Gród został zniszczony przez pożar.

2. Bieczyny – grodzisko stożkowe, położone w środku wsi. Powstało w okresie wczesnego średniowiecza.

3. Bonikowo – grodzisko wklęsłe, położone około 6 km na północ od Kościana, składające się z dwóch części, w części płn.-zach. przedzielone wałem, wewnątrz znajdują się dwie kotlinki: jedna okrągła o średnicy 25 m, a druga sierpowata o średnicy 15 m, od strony pld-wsch. przylega kolejny wał otaczający czworokątną kotlinkę o wymiarach 20x30 m. Grodzisko otoczone jest fosą. Powierzchnia 2,5 ha. Szerokość wału u podstawy to 10-15 m, a wysokość 8. 2-2,2 m.

4. Bruszczewo – grodzisko na planie koła, położone na płn. od Śmigła, otoczone z trzech stron przez wody rzeki Samicy. Otoczone fosą o głębokości 5-7 m i szerokości 20 m. Wybudowane w okresie istnienia kultury unietyckiej tj. 2300-1600 p.n.e.

5. Cichowo – grodzisko stożkowe, o podstawie owalnej, położone na dennym półwyspie Jeziora Łagowskiego, wciskające się przylądkowato w jezioro i korzystające z trzech stron z ochrony wodnej, w odległości 1,2 km od wsi Łagowo. Wymiar 70-150 kroków, a wysokość wału 1-2 m.

6. Czacz I – grodzisko wklęsłe, położone za parkiem dworskim, przecięte kanałem Samicy, obwód 140 m, średnica kotlinki 23x15 m, wysokość wału 4 m. Znalezione tam skorupy typu grodziskowego oraz spalone kości.

7. Czacz II – grodzisko stożkowe, czworoboczne, położone około 450 m od mostu drogowego na Samicy i 100 m na pld. Od rzeki, zwane Łusą lub Żabią Górą. Wielkość platformy na górze 12x20 m, a wysokość 3-4 m. Porośnięte bujną roślinnością, otoczone kiedyś szeroką fosą. Znalezione tam liczne fragmenty naczyń, grudy polepy i kości zwierzęce.

8. Czerwona Wieś – grodzisko stożkowe, położone około 1,5 km

na płn-zach. od Krzywina, na zachodnim brzegu Kanału Obry, 500 metrów na płn-wsch. od Czerwonej Wsi i 750 m od Kuszkowa, wśród błotnistych łąk, między Kanałem Obry i strumykiem. Częściowo zniszczone. Wymiary: średnica podstawy 25 m., a wału zewnętrznego 60 m. W 1922 roku twierdzono, że był tam ofiarnik pogański, co miało wynikać z założenia nasypiska.

9. Dębiec Nowy – grodzisko pierwotnie stożkowe z kotlinką, położone na cyplu wysoczyznowym, na wschodnim brzegu Jeziora Wonieskiego, na północ od drogi polnej z Dębca Nowego do jeziora, 500 m na pld-wsch. od wsi i 250 m od wschodniego brzegu jeziora.

10. Jurkowo – położone wśród łąk, nieopodal Kanału Obry. Odkrycie było możliwe na podstawie wykonanych w 1998 r. zdjęć lotniczych. Przeprowadzone przez archeologa Elżbietę Wyrwińską badania potwierdziły istnienie tam grodziska powstałego w okresie wczesnej epoki halsztackiej tj. 600-500 lat p.n.e. Odkryto tam wielką ilość najróżniejszych przedmiotów: toporek kamienny i żarno kamienne, tulejkę do grotu, fragmenty ceramiki.

11. Kamieniec – grodzisko położone na terenie parku, około 250 m od drogi Grodzisk Wilk.-Kościan, pochodzi z okresu wczesnego średniowiecza. Częściowo zniszczone.

12. Konojad – grodzisko położone przy skrzyżowaniu toru kolejowego Grodzisk Wilk.-Kościan i rzeki Mogilnicy.

13. Kurzagóra Nowa – grodzisko wklęsłe, położone około 2 km na pld-wsch. od Kościana w odległości około 50 m na wsch. od brzegu Kanału Obry i 400 m od wsi. Jest częściowo zniszczone, w jego skład wchodzi okrągła kotlinka o średnicy 15 m, otoczona wałem o szerokości 20 m. Dalej znajduje się kolejny wał, który od strony płn.-wsch. jest przerwany. W części południowej do drugiego wału przylega sierpowate przedwał otoczone od południa następnym – dzisiaj już zniszczonym wałem. Za drugim wałem i przedwałem znajduje się fosa, otaczająca całe grodzisko. Długość grodziska wynosi 120 m. Okoliczna ludność zwała ten teren „Kosobut”. Znalezione tam skorupy i zwierzęce kości.(cdn)

JAN PAWICKI

Zapiski

Marian Koszewski, wybitny regionalista, patron Szkoły Podstawowej nr 4 i Gimnazjum nr 4 w Kościanie życie poświęcił badaniu i popularyzowaniu dziejów Ziemi Kościańskiej. Zmarł 16 października 2006 roku. Pozostały po nim nie tylko liczne publikacje, ale także stopy notatek, które gromadził, a których – niestety – nie zdążył wykorzystać. W latach 1999 – 2000 Marian z przyjaciółmi z Instytutu im. Generała Stefana „Grotta” Roweckiego z Leszna przeprowadzał kwerendę prasy w Bibliotece Uniwersyteckiej w Poznaniu. Notatki z przeglądu kościańskiej „Gazety Polskiej”, rocznik 1929, wraz z jego uwagami (zaznaczono je kursywą) stanowią treść tego artykułu. Podane w śródtytułach daty określają dzień ukazania się gazety.

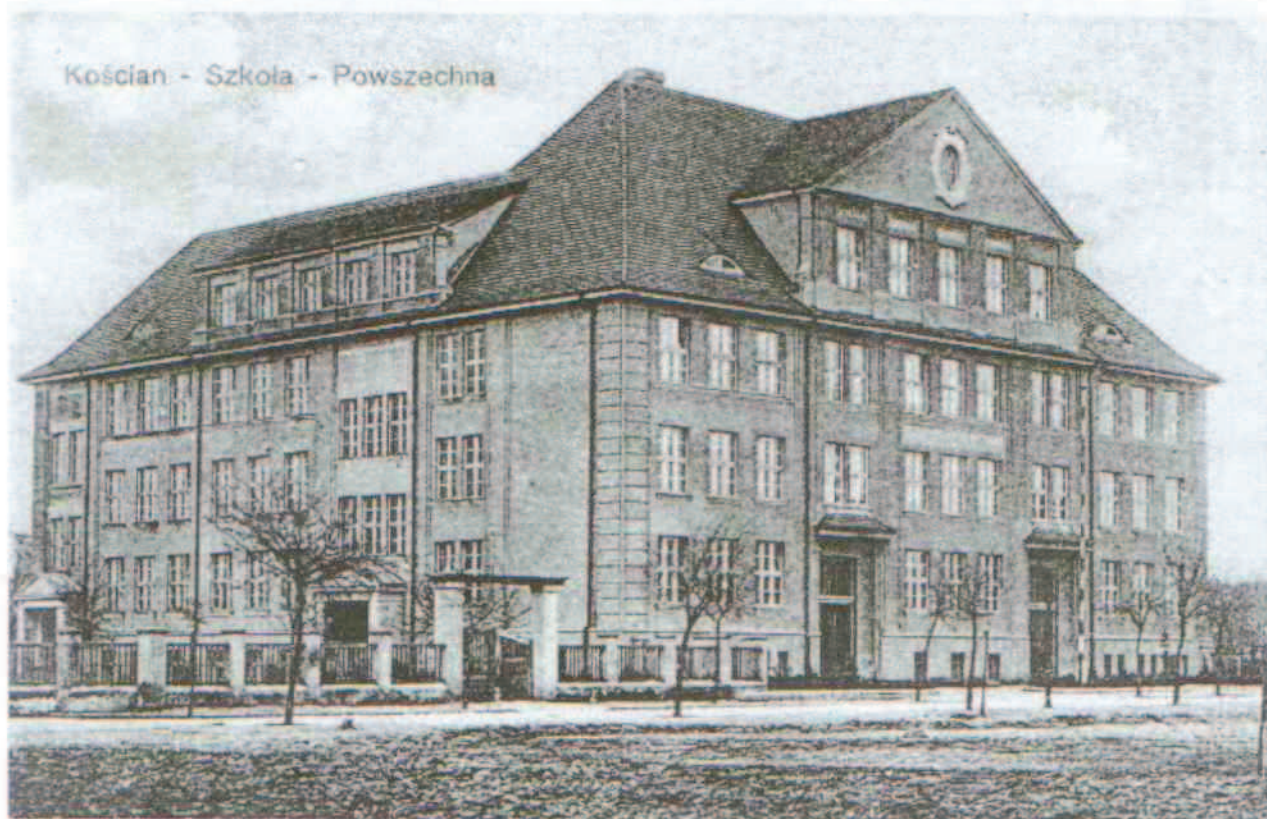
10 maja 1929r.

Z Jerki. Ku uczczeniu poległych w latach 1914 – 1921 nastąpi odsłonięcie tablicy pamiątkowej w Jerce. Na pokrycie kosztów odbędzie się 12 maja zabawa letowa z obfitym programem. Miejsce – boisko szkolne. Komitet zaprasza. *Trzeba się zastanowić, co stało się z tą tablicą w czasie okupacji niemieckiej i później.*

13 maja

Kościan. Groby poległych na tułejszym cmentarzu są w tym roku bardzo zaniedbane. Kto zechce pielęgnować naszych bohaterów może się zgłosić po kwiaty, które będzie wydawało ogrodnictwo miejskie za darmo, we wtorek 14 bm. od godz. 5 – 7 po południu w szkółce przy gazowni. *Miałem wtedy pięć i pół roku. Później mój starszy brat śp. Mieczysław często prowadził mnie na cmentarz i pokazywał pomnik i mogiły powstańców wielkopolskich i uczestników wojny polsko – bolszewickiej. Wtedy to miejsce było już zaniedbane. Opiekę objęli harcerze z Hufca ZHP Kościan. Na Wszystkich Świętych zawsze było tak dużo kwiatów i świeczek.*

kościńskiego regionalisty (2)



Kościń - Szkoła - Powszechna

Ze zbiorów pocztówek w Muzeum Regionalnym im. dra Henryka Florkowskiego w Kościńcu

22 maja

Kościń. Królem kurkowym w Kościńcu został pan Roman Jaskowski - mistrz kowalski, drugim królem pan Alfons Kosik - inspektor zakładu psychiatrycznego. Jaskowski miał kuźnię na Placu Wolności. Takich zakładów było w Kościńcu jeszcze kilka: Z. Bednarkiewicza na ul. Strzeleckiej, J. Przemyckiego - ul. Naclawska, A. Tadeusza - ul. Śmigielska, J. Tomysłaka - ul. Świętej Zofii. Mistrzem kowalskim w Kościńcu był także Niemiec Paul Wegner (ul. Garbarska), który - internowany przez polską policję - zginął tragicznie we wrześniu 1939 roku. O inspektorze Kosiku nie mam dokładniejszych danych.

25 maja

Śmigiel. W czwartek 23 maja wieczorem o godz. 8.15 przejechał ze strony Leszna Pan Prezydent Rzeczypospolitej przez Śmigiel. Miasto nasze

przybrało szatę godową. Pan Prezydent Rzeczypospolitej gościł u Państwa Żółtowskich w Czaczcu, gdzie został podjęty obiadem, poczem odjechał do Poznania. Chodzi o prezydenta Ignacego Mościckiego, pod którego patronatem odbywała się wystawa „PeWuKa” - pierwsze Targi Poznańskie. Prezydent otworzył wystawę 16 maja. Poświęcił wiele czasu na zapoznanie się ze stanem rolnictwa wielkopolskiego. W ów czwartek 23 maja od południa był w powiecie rawickim - w Miejskiej Górcie, Chojnie, Rawiczu - dłuższy pobyt na Rynku, dalej w Izbicach i Bojanowie Starym; później krótko w Lesznie - witały go tam uroczyste miejscowe władze i kompanie honorowe 17 pułku ułanów oraz 55 pułku piechoty; stamtąd wyruszył do Czaczca, gdzie właścicielem majątku był Jan Żółtowski - prezes Wielkopolskiego Związku Ziemian. W notatce prasowej jest zapewne

pomyłka, bo - jak wynika z relacji rodziny Żółtowskich - Ignacy Mościcki zjadł w Czaczcu w czwartek kolację, przenocował w pałacu i wyjechał do Poznania następnego dnia po obiedzie. Prasa poznańska donosiła, że prezydent RP zjawił się na „targach” w piątek o godz. 17.00 i przez dwie i pół godziny zwiedzał wybrane stoiska. W niedzielę 26 maja od rana Ignacy Mościcki był w Poznaniu honorowym gościem na zjeździe Wielkopolskiego Towarzystwa Kółek Rolniczych.

3 czerwca

Kościń. Wczorajsza procesja Bożego Ciała odbyła się z Kaplicy Pana Jezusa do czterech ołtarzy na Rynku, przy pochmurnym niebie i przejmującym chłodzie. Po południu padał deszcz. Ołtarze przygotowali przed swoimi domami: mistrz rzeźnicki Woroch, ku- ➤



KOŚCIAN Wkp. Cukrownia.

Ze zbiorów pocztówek w Muzeum Regionalnym im. dra Henryka Florkowskiego w Kościanie

► *piec Bąk, Bank Ludowy i restauratorka Simińska. Widocznie procesja ta obchodząc Rynek zgodnie ze wskazówkami zegara, powróciła do Kaplicy.*

8 czerwca

Kościan. Egzamin dojrzałości w tutejszym Państwowym Gimnazjum im. św. Stanisława Kostki, który odbył się w dniach 6 i 7 bm. pod przewodnictwem dyrektora Państwowego Gimnazjum w Lesznie Nicefora Perzyńskiego złożyli abiturienti: Albrecht Florian, Brzeziński Stefan, Fellmann Waclaw, Hauser Teodor, Helak Stanisław, Kaczór Jan, Łakomy Mieczysław, Narożny Franciszek, Nowak Ignacy, Palewodziński Edmund, Radeberg Antoni, Sarrazin Witold, Sikora Józef, Stachowiak Józef, Trawiński Tadeusz, Ustasiak Stanisław i Wytyk Edmund. *Prof. Nicefor Perzyński, wybitny patriota, był dyrektorem Państwowego Gimnazjum Męskiego im. J.A. Komeńskiego w Lesznie, aresztowany przez gestapo we wrześniu 1940 r., więziony na Forcie VII w Poznaniu,*

zamęczony został 11 września 1940 r. w niemieckim obozie koncentracyjnym Mauthausen – Gusen. Waclaw Fellmann został urzędnikiem bankowym, pracował w Wielichowie, jako podporucznik WP zmobilizowany w sierpniu 1939 r., brał udział w kampanii wrześniowej, trafił do sowieckiego obozu w Starobielsku i zamordowany został przez NKWD w Charkowie w kwietniu 1940 r. Edmund Palewodziński to wybitna postać, więzień niemieckiego obozu koncentracyjnego w Dachau, kanclerz trzech kolejnym Prymasów Polski – Hlonda, Wyszyńskiego i Glempa. Profesor Seminarium Duchownego – specjalista od zabytków sakralnych. Pochodzi ze Śląska, ojciec był urzędnikiem kolejowym, przeniesionym stamtąd do Kościana. Ksiądz kanclerz żyje i mieszka w Gnieźnie. [Dopisek J.Z. - Ks. prof. Edmund Palewodziński zmarł w Gnieźnie w 13 października 2001 r. Jego biogram opracował i wydał drukiem Zdzisław Wojtczak w III tomie „Słownika biograficznego absolwentów kościańskiego gimnazjum i liceum”, Kościan 2005.]

13 czerwca

Kościan. Poświęcenia łazienek miejskich dokonał wczoraj po południu ks. prob. Bednarkiewicz w obecności władz miejskich i kilku gości. Wygłosili po poświęceniu krótkie przemówienia: ks. prob. Bednarkiewicz, panowie burmistrz Maćkowiak, radca Czajka, przewodniczący Rady Miejskiej Stefan Soborski i dr Twórz. Decernent gazowni pan Czajka wyraził uznanie pracownikom i kierownikowi gazowni, która swoim kosztem wybudowała już kilka gmachów oraz łazienki, mimo to, że gaz w naszym mieście jest najtańszy w całej Polsce. W końcu p. kierownik Trąbka podziękował za uznanie. Z terenów gazowni zgromadzeni udali się do Parku Miejskiego, gdzie ks. proboszcz Bednarkiewicz poświęcił również nowo wybudowaną kregielnię. *Łazienki miejskie – tego nie należy mylić z obecnymi Łazienkami w Kościanie. W czerwcu 1929 r. przy miejskiej gazowni zbudowano łaźnię z kabinami, wannami, prysznicami, z ciepłą wodą ogrzewaną gazem, z której korzystali za opłatą miesz-*

kańcy miasta, którzy nie mieli własnych łazienek w domach. Ta łaźnia czynna była w okresie okupacji niemieckiej, a także później – jeszcze w latach sześćdziesiątych XX wieku. Wspomniany tu radca Wawrzyniec Czajka – przedsiębiorca, właściciel fabryki wódek, win i likierów w tamtym czasie był radnym miejskim i z tego tytułu nadzorował działalność gazowni.

26 sierpnia

Na zaproszenie grupy parlamentarzystów polsko – francuskich przybędzie do Polski 37 wybitnych parlamentarzystów francuskich z księciem Januszem Radziwiłłem. Wyjazd z Paryża 26 sierpnia o godz. 22.15. Wycieczka przybędzie do Poznania 28 sierpnia o godz. 1.40 - zwiedzi PWK (wystawę krajową) i zje obiad u wojewody poznańskiego. W programie wyjazd wycieczki do Kościana i Bonikowa, gdzie bawi na wakacjach ambasador Polski we Francji dr Alfred Chłapowski. Przyjazd do Kościana w czwartek 29 sierpnia o godz. 10-tej przed południem. Wzywa się towarzystwa i korporacje o udział w powitaniu ze sztandarami, o udekorowanie miasta girlandami i chorągwiami.

31 sierpnia

Kościan. W czwartek o godz. 9.30 rano wyruszyła z Poznania samochodami wycieczka parlamentarzystów francuskich do Bonikowa, majątku ambasadora Chłapowskiego, celem zapoznania się z gospodarstwem rolnym na zachodnich ziemiach Rzeczypospolitej. Na całej przestrzeni około 50 klm, dzielącej Bonikowo od Poznania była wycieczka przedmiotem entuzjastycznych owacyj ze strony ludności, która tłumnie wyległa na ulice miasteczek i wsi, przez które przejeżdżały samochody, wiozące gości. Ulice i domy miasteczek i wsi były udekorowane chorągwiami o barwach francuskich, a bramy triumfalne wzniesione na uczczenie gości, ozdobiono napisami „Niech żyje Francja, wierna przyjaciółka i sojuszniczka Polski!”. Ambasador Chłapowski spotkał wycieczkę w Kościanie, gdzie na rynku zebrali się przedstawiciele władz miejscowych ze starostą Narajewskim na czele, rada miej-

ska i magistrat, stowarzyszenia ze sztandarami i młodzież szkolna. Burmistrz Kościana pan Maćkowiak wygłosił następujące przemówienie powitalne: - Dumny jestem i szczęśliwy, że starożytny gród kościański, którego jestem wobec Was, Panowie, przedstawicielem, będzie mógł zapisać w kronice historii swej złotymi głoskami dzień dzisiejszy, gdy wybrańcy narodu francuskiego, zbaczając z utartych dróg turystów powierzczone nam kraj zwiedzających, przybyli tutaj, by przekonać się, jak żyje, jak pracuje, co myśli i co czuje ta część narodu polskiego, która na uboczu wielkich centrów administracyjnych czy ekonomicznych, swą pracą buduje nową Polskę(...) To też odnosząc się z ukochaniem i uwielbieniem do naszej przeszłości, pomni wielkich ofiar narodu poniesionych około odzyskania niepodległości, świadomi, że nienawistne siły tajemne i jawne pragną przeszkodzić umacnianiu naszej niepodległości, pragną wstrzymać nas rozmach pracy i postępu dla dobra ojczyzny i ludzkości ślubujemy: że jak lwy czujni, mężni i odważni tu na kresach zachodnich Rzeczypospolitej będziemy stać i trwać, by broniąc wszystkiego, co nasze, spełnić zadanie dziejowe przez nas przez Opatrzność Bożą. Tak nam dopomóż Bóg. Tymi uczuciami ożywiony – mam nadzieję, że zechcecie Panowie zrobić nam zaszczyt zapisania się do księgi złotej złożonej w Sali ratuszowej, dla upamiętnienia dnia dzisiejszego, gdy miasto nasze przyjmowało przedstawicieli bratniego narodu francuskiego. Wnoszę okrzyk i pragnę, aby usłyszała go cała Polska: Niech żyje Francja. Na przemówienie odpowiedział prezes Grupy Parlamentarnej Francuskiej deputowany Loequin. *Poszukiwałem złotej księgi pamiątkowej miasta Kościana prowadzonej w czasach II RP. Długoletni sekretarz miejski pan Hain, który pracował w zarządzie miasto jako urzędnik pomocniczy także w latach okupacji niemieckiej 1939 – 1945 mówił mi, że księgę ewakuowano wraz z innymi aktami miejskimi do Lublina i stamtąd już nie powróciła. O wizycie parlamentarzystów francuskich w powiecie kościańskim donosiła nie tylko miejscowa*

„Gazeta Polska”, ale też prasa krajowa i zagraniczna. Z relacji dziennikarzy wynika, że po powitaniu na Rynku, francuscy goście wpisali się do „złotej księgi”, po czym w towarzystwie władz powiatu i miasta zwiedzili kolejno: szkołę powszechną tzw. białą, obecnie nr 1, nowobudowane gimnazjum męskie, obecnie liceum i gimnazjum żeńskie tzw. szkołę czerwoną, obecnie szkoła specjalna, rzeźnię miejską i cukrownię. Na obiad udali się do Bonikowa, gdzie gościł ich dr Alfred Chłapowski – ambasador RP we Francji, zapoznali się z organizacją pracy folwarku Mikoszeki i przez Kościan dotarli do Czarkowa. Tam na dłuższy czas zatrzymali się w „gospodarstwie rolnym średniej wielkości pana Sobiecha, który witał gości chlebem i solą”. Wieczorem parlamentarzystów podejmował kołacją starosta kościański Adam Narajewski. Anegdota głosi, że ambasador Chłapowski solidnie przygotował się na przyjazd francuskich gości. Od okolicznych ziemian wypożyzył najlepsze maszyny, które pracowały w polu wzdłuż trasy przejazdu z Kościana do Bonikowa i Mikoszem. Komentarze korespondentów francuskich świadczyły, że wizyta kościańska uczyniła na gościach wielkie wrażenie. (cdn)

MARIAN KOSZEWSKI

Sprostowania

W poprzednim numerze pisma („WK” 1-4, styczeń – kwiecień 2012) w artykule pt. „Pod swastyką i sierpem”, opisującym losy żołnierza Armii Krajowej wkradł się błąd w pisowni nazwiska bohatera reportażu. Poprawnie brzmi ono: Stanisław Dohnal. W tym samym numerze złośliwy chochlik sprawił, że w odredakcyjnej notce, poświęconej ks. Wojciechowi Wasiakowi, dołożyliśmy mu sporo lat. Ksiądz Wojciech urodził się, nie w 1965, a w 1985 roku. Prostuujemy i przepraszamy zainteresowanych. (red.)

Okruchy wojennej pamięci (II)

Fragmenty pracy magisterskiej Katarzyny Szymkowiak pt. *Losy mieszkańców Ziemi Kościańskiej w czasie II wojny światowej na podstawie wspomnień, napisanej i obronionej z filologii polskiej na Uniwersytecie Adama Mickiewicza w Poznaniu.*

Ucieczka

Ileż emocji musiało towarzyszyć ludziom, którzy zmuszeni zostali do opuszczenia swoich domostw, niejednokrotnie do pozostawienia dobytku całego życia. Dla tych, którzy wyruszyli „do nikąd” była to trudna podróż. Eugeniusz Wachowiak wspomina, że nieopodal Leszna wraz z matką i innymi mieszkańcami okolicznych wsi mijali kolumny samochodów z żołnierzami niemieckimi trzymającymi karabiny zakończone bagnietami oraz ciężkie samochody i motocykle.

przepelnionym wozem, do którego zaprzęgnięto ciężkie zwierzęta - ucieczką. Brzmi to wręcz paradoksalnie.

Bezpośrednio z Kościana ludność kierowała się w stronę Gostynia i Śremu. Józef Zielonka z Kościana również podjął taką decyzję. Większy bagaż załadował na rower, który prowadził, natomiast podręczne rzeczy dźwigały dzieci... Wkrótce dołączył do nich Marian Koszewski. Po drodze mijali grupy uciekinierów spod Grodziska Wielkopolskiego. Spotkali też seniora Koszewskiego,

stanowiły pewien impuls – odruch ludzki na świadomość istniejącego i nieuchronnie zbliżającego się zagrożenia (...) Po krótkim czasie uciekinierzy mijali innych, którzy zawracali, gdyż jak się okazało wróg nadchodził zewsząd.

Dwoje młodzieńców, zawracając, wyruszyło w kierunku Gąbina. Jednak na rozwidleniu rozdzielili się - Koszewski pojechał w jedną stronę, jego kuzyn natomiast w inną. Ta druga okazała się być szczęśliwa, gdyż młodzieniec szybko trafił do domu. Marian Koszewski stracił swój rower. Natrafił bowiem na niemiecki posterunek znajdujący się przy kościele. Tam zabrano mu środek transportu. Na szczęście nie zatrzymywano zakładników (...) W końcu Marian Koszewski, jak i wielu innych, powrócił do rodzinnego domu. Jego ucieczka „do nikąd” trwała od 3 do 25 września. W tym czasie przebył 550 kilometrów. Ludzi o podanych przeżyciach było wielu. Zastraszeni, ale pełni nadziei, że na wschodzie nie ma Niemców, podejmowali ryzyko wędrówki. Jak się okazało przemierzali często setki kilometrów na darmo. Złęknieni wracali niejednokrotnie pod ostrzałem do swoich domostw, które zostawili bez pewności, bez gwarancji jakiegokolwiek ocalenia dobytku.

Ksiądz Milan Kwiatkowski z pierwszymi obrazami działań wojennych zetknął się również podczas „ucieczki”. Przechodził obok miejsca, w którym spadła bomba zabijając dwanaście osób, osiem z nich należało do oddziałów artyleryjskich wojska polskiego. Konie także nie uszły z życiem. Wojna pochłaniała setki istnień ludzkich. W głowach rodziła się obawa przed kolejnym bombardowaniem (...) Ksiądz wraz z towarzyszącym postanowili powrócić do Śmigła. Podczas drogi zostali zatrzymani przez niemieckie wojsko. Żołnierze żądali od nich dokumentów. Szybko zorientowali się, że jeden z nich jest kapłanem – zresztą taka informacja była zawarta w przepustce. W kierunku księdza padło polecenie zejścia z



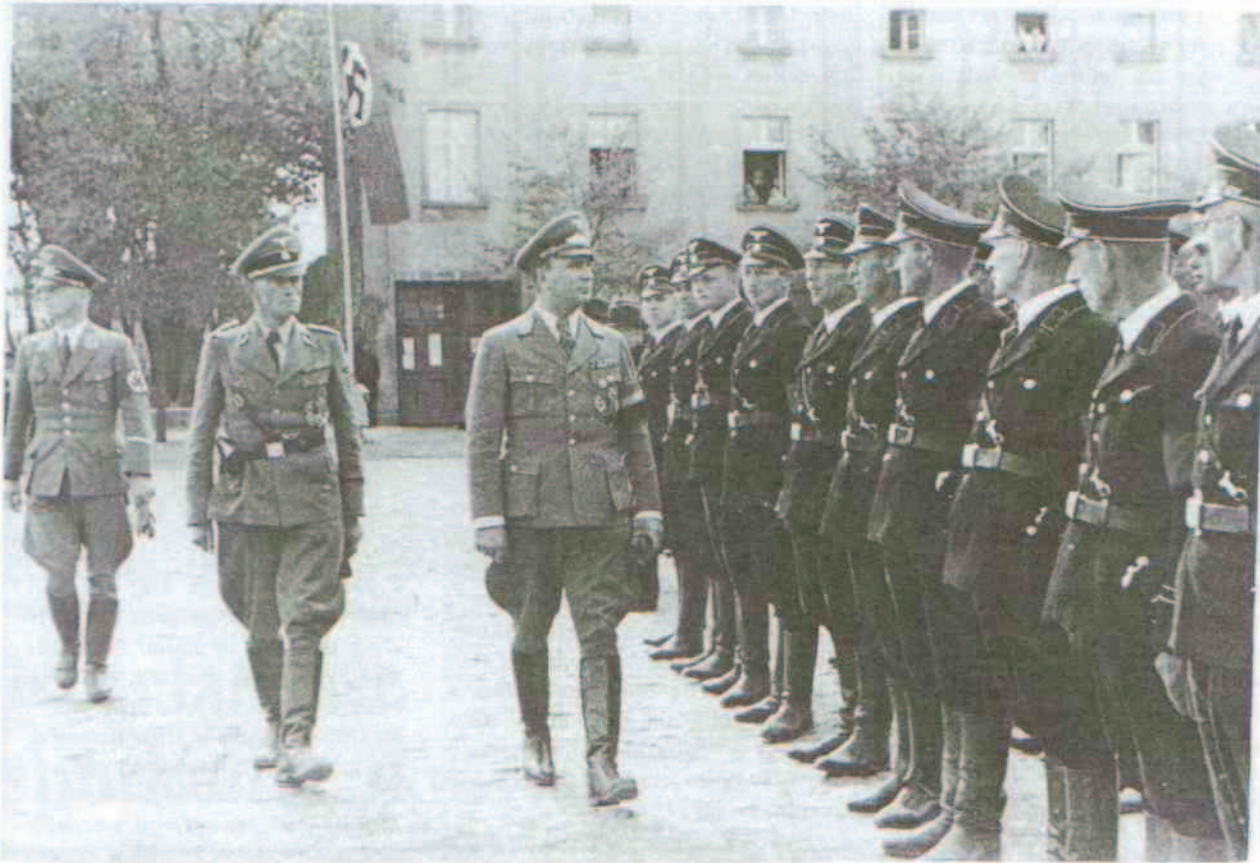
Autorka ze swoim dziadkiem Stanisławem Rajchem. Fot. Katarzyna Żurek

„Budzili we mnie lęk, podziw i odruch obcości. Gdzie naszemu wojsku do takiego wyposażenia – i czegoś w sercu żal” (Eugeniusz Wachowiak).

Polskiemu wojsku brakowało wszystkiego. Liczebnością nie dorównywali wrogowi, posiadali także mniej i gorszej jakości sprzęt. Gospodarze zmuszeni byli oddawać konie na potrzeby policji i wojska, zatem wozy z cywilami poruszały się bardzo powoli, gdyż ciągnęły je woły. Trudno nazwać podróż

wracającego z odpustu z Oborzysk Starych. Wymienili zaledwie kilka zdań, po czym Koszewski pomachał im, gdyż owej ucieczki nie pochwalał. Jak się później okazało - miał rację – bowiem wyprawa ta nie miała sensu. Przebieg wędrówki warunkowały szlaki frontu, bombardowania oraz zburzone mosty. Wszędzie czuła niebezpieczeństwo.

Panika narastała do tego stopnia, iż w krótkim czasie wytworzyła się psychoza wojny. Właściwie działania podejmowane przez ludność cywilną



Zbrodniarz wojenny, Namiestnik Kraju Warty Arthur Greiser w czasie lustracji oddziału SS. Fot. w zbiorach J. Zielonki

wozu. Został on dokładnie przeszukiwany w celu wykrycia nielegalnej broni. Znalaziono przy nim tylko konserwę i latarkę. Wojskowi nieusatisfakcjonowani zaczęli drwić i żartować z kapłana. Ten z pełną powagą i przerażeniem jednocześnie oczekiwał dalszego rozwoju wydarzeń. Całe szczęście, że spotkanie to skończyło się na drwinach z konia:

„Powiadaliście, że w Niemczech nie mamy co jeść – mówią – ale w całych Niemczech nie ma takiego konia, a tutaj ciągnie nawet takich gości” (Milan Kwiatkowski).

Do ostatniej chwili spotkania, ksiądz Kwiatkowski złękniy obawiał się o życie własne i współtowarzyszy.

W Ojczyzny obronie

Dramat rozgrywał się nie tylko wśród zwyczajnych ludzi, ale i na frontach, wśród żołnierzy, którzy dzielnie stawili opór hitlerowcom. Łączyła ich wspólna miłość do Ojczyzny, która znajdowała się w potrzebie. Należało jej bronić za wszelką cenę – nawet najwyższą – cenę wła-

snego życia. Teofil Kaźmierczak pełnił służbę w Poznaniu w siedzibie Dowództwa Sztabu 14 Dywizji Piechoty Wielkopolskiej. Znajdowała się ona na skrzyżowaniu ulic Św. Marcina i Tadeusza Kościuszki. Właśnie on usłyszał w słuchawce wiadomość, że Niemcy przekroczyli naszą zachodnią granicę w Zbąszyniu:

Telefonicznie powiadomiłem o tym dowódcę 14 Dywizji generała Władę, który rozkazał mi ogłosić alarm dla członków Sztabu Dywizji. W ten sposób stałem się pierwszym Polakiem, który w Poznaniu dowiedział się o napaści hitlerowskiej na naszą Ojczyznę (Teofil Kaźmierczak z Kościana).

Odwaga i męstwo nie wystarczyły do odparcia ataków wroga. Naturalną rzeczą dla żołnierza jest myśl, że do obrony Ojczyzny otrzyma należyty mu sprzęt – mundur i broń (...) Niestety Niemcy przewagę mieli we wszystkim: w liczebności armii, czołgach, broni, samolotach.

Hitlerowskie lotnictwo z łatwością przeprowadzało kolejne serie bombardowań, zbierając zniwo śmierci

także wśród kobiet i dzieci. Wstrząsający był obraz płaczu matek szukających swoich pociech. Ludzie w bezsilności wypatrywali na niebie naszych samolotów. Pocieszeniem wydawał się fakt, iż zapału i patriotyzmu nigdy polskim żołnierzom nie brakowało. Wydawało się wręcz, że wojna z Niemcami potrwa krótko, a i zwycięstwo jest nam pisane. Rzeczywistość jednak okazała się być zgoła odmienna.

Dla wielu odgłos nadlatujących bomb lotniczych i dźwięk karabinów maszynowych wydawał się być swoistego rodzaju przygodą. Myśleli o bohaterskich czynach, nie zdając sobie sprawy z powagi sytuacji. Na nasz kraj napadła przecież największa potęga ówczesnej Europy. Dla jednych wybuch wojny oznaczał w pewnym sensie przygodę, dla innych był początkiem nieprzespanych nocy i egzystencji w ciągłym, nieugiętym strachu – o zdrowie i życie synów, którzy poszli i być może już nie powrócą. ➤

Leon Rawecki zawsze pamiętał swoją matkę, która żegnając się z nim, tradycją praojców pobłogosławiła i ucałowała syna zawieszając mu jednocześnie na szyję medalik. Na koniec dodała:

„Ojczyzna w potrzebie, idź i wracaj cały” (Leon Rawecki z Lęk Wielkich).

Jak się później okazało, święty medalik posiadał cudowną moc, dzięki której żołnierz Rawecki uszedł z życiem w bitwie nad Bzurą (...) Ze szczegółami potrafił po wojnie opisać te chwile tak, jakby wszystko działo się wczoraj. Niemcy otoczyli wojsko polskie i ze wszystkich stron nastąpiło bombardowanie. Wówczas, przeczuwając zbliżającą się śmierć, przypomniał sobie o medaliku. Właśnie w momencie, kiedy wyciągnął go spod munduru i chciał ucałować, żegnając się w ten sposób z rodziną, odchylił głowę w lewo. Gdyby tego nie zrobił, kula trafiłaby w jej środek, gdyż nie posiadał kasku ochronnego. W ten sposób ranny dostał się do niewoli (...)

Równie wstrząsającej historii doświadczył porucznik Lossow – Niemojowski. Został ranny w bitwie pod Piątkiem. Nie dawał żadnych znaków życia, toteż miał zostać przeniesiony i pochowany wraz z innymi ofiarami we wspólnej mogile. W ostatniej chwili jeden z żołnierzy zauważył jak drgnęła powieka porucznika. Okazało się, że żyje. Był w bardzo ciężkim stanie – miał przestrzelone obydwa płuca. W czasie rekonwalescencji zachorował jeszcze na ich zapalenie, co dodatkowo go osłabiło. Leczenie trwało bardzo długo, ale został uratowany. Cud, że porucznik Lossow-Niemojowski uniknął pochowania żywcem. Ilu ludzi, tyle osobistych dramatów. Dla porucznika Lossow - Niemojowskiego czas napaści to podwójna trauma – Ojczyzny i jego własnej osoby. Nasuwa się jednak pytanie, czy takowe pomyłki miały miejsce? To była wojna – brakowało czasu na dokładne sprawdzanie, na sekcję zwłok.

Zarówno podczas ucieczki, jak i w walce obronnej ginęła ludność

cywilna. Śmierć zwykłych ludzi była zaplanowana przez hitlerowców. Dzielnie broniąc Ojczyzny, ginęli chłopcy – inteligentni, przede wszystkim młodzi, wykształceni – tragiczni Kolumbowie. Nie wiedzieli, że to był dopiero początek...

Pod okupacją

„Koszmar okupacyjny... – terror gestapo, wywózki, łapanki, rozstrzelania, lejąca się krew bojowników podziemia – nie zniknie z naszych oczu i myśli. Było tego i za dużo, i za „strasznie”, by można to wymazać z pamięci” (Stefan Miodalewicz).

Znaleźliśmy się pod okupacją. Nasilenie wrogiej postawy Niemców wobec Polaków można było odczuć każdego dnia (...) Przystąpiono do realizacji planu związanego z eksterminacją Polaków. Narzędziem stały się terror, zastraszenia, aresztowania, w końcu publiczne egzekucje. Aresztowania – kogo? Za co? Bez powodu. Wszystko można odpowiednio zaaranżować:

... za każdego ranionego żołnierza lub Niemca – dwóch, a za każdego zamordowanego – dziesięciu zakładników rozstrzelanych będzie (Hubert Zbierski ze Śmigła, Sylwetki Rozstrzelanych...).

Zadbane o odpowiednią prowokację (...) Od razu w mieście pojawiła się jednostka policji bezpieczeństwa, która przeprowadziła natychmiastowe śledztwo. Sąd specjalny wydał wyrok rozstrzelania 16 Polaków – 8 w Śmiglu i 8 w Kościanie... Był to rodzaj swobodnego odwetu jak się później okazało za poderżnięcie gardła kilka dni wcześniej stróżowi cegielni w Nietążkowie – Rauschowi. 30 września dokonano egzekucji w Śmiglu. W ten sposób ruszyła machina śmierci. Egzekucja na rynku w Kościanie miała miejsce 3 października 1939 roku. Zwołano przechodniów, by zrobić „lepsze przedstawienie”. Najpierw rozstrzelano połowę osób, które oficerowie dobijali strzałem z pistoletu. Następnie między zwłoki wprowadzono i zamordowano kolejnych. Niemcy w euforii gratulowali sobie wzajemnie i robili pamiątkowe zdjęcia. Nie był to koniec widowiska. Wprowadzono między trupy pod ścianę księdza. Był przekonany, iż za moment straci życie.

[Zatem] skurczem rąk rozdarł na piersiach sutannę i krzyknął znamiennie słowa: Jestem Polakiem, ginę za Polskę! Jeszcze Polska nie zginęła, strzelajcie! (Hubert Zbierski ze Śmigła, Sylwetki Rozstrzelanych...)

Reakcja gestapowców była inna, niż się spodziewano. Podbiegli do kapłana i zaczęli okładać go kolbami karabinów, używając przy tym wulgarnych wyzwisk. Kiedy już rozbito mu szczękę i wybito zęby, został zmuszony do ładowania zwłok na wóz kołowy... (cdn)

KATARZYNA SZYMKOWIAK

*ródła:

- Kaźmierczak Teofil, *Mój wrzesień 1939 roku*, [w:] *Pamiętnik Towarzystwa Miłośników Ziemi Kościańskiej 1993-1995*, pod red. Henryka Florowskiego, Kościan 2000.
- Koszewski Marian, *Moja ucieczka*, [w:] zbiory prywatne J. Zielonki.
- Kwiatkowski Milan, *Wspomnienia ks. Milana Kwiatkowskiego z czasów okupacji 1939-1945*, [w:] zbiory prywatne Jerzego Zielonki.
- Lossow Joanna, *Wspomnienia z ostatnich lat życia Aleksandra Lossow-Niemojowskiego*, [w:] *Pamiętnik Towarzystwa Miłośników Ziemi Kościańskiej 1996 - 2000*, pod red. Zdzisława Witkowskiego i Kazimierza Zimniewicza, Kościan 2001.
- Miodalewicz Stefan, *Gdy siły mierzo no na zamiary*, [w:] *Pamiętnik Towarzystwa Miłośników Ziemi Kościańskiej 1996-2000*, pod red. Zdzisława Witkowskiego i Kazimierza Zimniewicza, Kościan 2001.
- Rawecka Józefa, *Przeżycia wojenne mojego męża – Leona Raweckiego*, [w:] zbiory prywatne Katarzyny Szymkowiak, relacja ustna.
- Rawecki Leon, *Wspomnienia*, [w:] zbiory prywatne Józefy Raweckiej.
- Szwarc Stanisław, *Wspomnienia z lat okupacji na Ziemi Kościańskiej*, [w:] zbiory prywatne Barbary Szwarc.
- Wachowiak E., *Wojna 1939-1940*, [w:] *Pamiętnik Towarzystwa Miłośników Ziemi Kościańskiej 1996-2000*, pod red. Z. Witkowskiego, K. Zimniewicza, Kościan 2000.
- Zbierski Hubert, *Sylwetki Rozstrzelanych Mieszkańców Ziemi Śmigiełskiej w 1939*, Śmigiel 2009.